ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 4. 23. I. 1937



KRÓLOWA MODY

NA ROK 1937

Nina Andryczówna

WSPANIAŁA TOALETA WYKONANA PRZEZ DOM MODELOWY „GOUSSIN CATTLEY"

UCZESANIE „CLEO-CATTLEY" MAZOWIECKA 12

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXII. Nr. 4 23. I. 1937

L. CHRZANOWSKI

GŁOS SPRAWIEDLIWOŚCI

Są mowy ministrów, które społeczeństwa przyjmują z ulgą.

Nietylko treść o tym stanowi. Nietylko dobór słów. Nietylko zdolności oratorskie i krasomówcza swada.

Intuicyjnie odczuwamy w każdej mowie twórczą wartość jednostki. A społeczeństwa zawsze cenią odwagę i prawdę.

Inna jest odwaga opozycjonisty — inna odwaga ministra.

Prawda i odwaga opozycjonisty leży w poruszeniu faktów czy przestępstw nieznanych, małoznanych lub przemilczanych. Krytykowanie zbytniej łatwości decyzji, czy też nieliczenia się z głosem opinji. Krytykowanie niedbalstwa czy nadużyć urzędniczych; domaganie się dla obywateli większego udziału w rządach i decyzjach. Nie będziemy zresztą wyliczali tych wszystkich objawów i wystąpień, w jakich znajduje swój wyraz prawda i odwaga krytyki. Ten rodzaj krytyki często uprzedza zło, sygnalizuje występek, ten rodzaj często naraża krytyków bo... psuje krew małego pokroju dygnitarzom, ich poplecznikom, zaufańcom i podskakiewiczom.

Odwagą ministra, zakrojonego na miarę męża stanu, jest po stwierdzeniu przestępstwa, zła, mylnej metody biurokratycznej, czy złego funkcjonowania podległych mu urzędów — napiętnowanie tego zła i zapowiedzenie nietylko kar, *ale i drogi naprawy.*

Społeczeństwo niezwykle silnie i dokładnie odczuwa, co się mówi dla zdjęcia z siebie odpowiedzialności, a co z twórczą wolą naprawy, zoperowania miejsc chorych i odradzania organizmu państwowego.

Tę odwagę prawdy i wolę naprawy odczuto w mowie naszego ministra sprawiedliwości.

Min. Grabowski nie po raz pierwszy wykazał, iż nie należy do ludzi, co chowają głowy w piasek. Dramatyczne wyznanie, jakie nam uczynił z trybuny sejmowej zabrzmiało donośnem echem w uszach każdego uczciwego Polaka.

Ale otwarte przyznanie ministra *„że korupcja i złodziejstwo grosza publicznego zaczyna przybierać zastraszające rozmiary"* choć brzmiało ponuro, jednak niosło ulgę masie szarych podatników: padały te słowa z ust ministra i — stwierdzały, że wie on dobrze to samo co i opinja publiczna, że wie zapewne więcej i że *nietylko wie*, ale już wytoczył *„walkę bezwzględną i bezkompromisową tym przestępstwom"*.

Społeczeństwo usłyszało zdecydowaną zapowiedź tej walki, uwierzyło ministrowi sprawiedliwości, i z radością skorzystało z tak rzadkiej okazji przyłączenia się do aplauzu izby wysłuchującej. Bo choć bolesne są słowa ministra, że *„kradzież grosza publicznego, łapownictwo, niedozór, niedbalstwo, protekcjonizm i nepotyzm — oto nazwy chorób, toczących młody organizm naszej państwowości"* — to jednak po tak szczerej, otwartej, zdecydowanej zapowiedzi walki z tymi występkami mamy już trochę wrażenie, że należą one poniekąd do przeszłości, że są już nieco poza nami.

Ten moment mowy min. Grabowskiego — to sztandar całej uczciwej Polski, która wytrwale nieść go będzie przeciw protekcjonistom, nepotom, łapownikom i złodziejom, i która z radością w pierwszym szeregu tych chorążych widzi swego ministra sprawiedliwości.

Drugim momentem jasnym tej mowy było wyraźne i zdecydowane credo ministra w sprawie niezawisłości sędziowskiej. Uznanie przezeń niezawisłości sędziowskiej za dogmat, bez którego wymiar sprawiedliwości jest nie do pomyślenia; postawienie sędziemu dwuch kryterjów: sprawiedliwości i sumienia, przyjęte zostanie z uznaniem nietylko przez całe kolegjum sędziów polskich, ale i przez całe społeczeństwo, które tak tylko sobie wyobraża sprawiedliwość.

Za to oświadczenie sama Sprawiedliwość wdzięczna będzie min. Grabowskiemu.

Dobrze, że słowa takie padły z ust tak autorytatywnych.

Waga ich okupi ziarnko goryczy, że w dziewiętnastym roku Niepodległości minister uznał za wskazane wypowiedzenie tego dogmatu.

T. GAUCHER.

LISTY Z HISZPANJI

ZDOBYWAMY MADRYT

(Koresp. własna „Świata").



Oficerowie powstańczy z ciekawością oglądają kadłub strąconego samolotu „czerwonych"...

Zdobywamy Madryt. Od kilkunastu tygodni front nasz łamie się zygzakowato wśród domów przedmieść i ulic. W komunikatach zwycięskich obu stron czyta się nazwy dzielnic i placów madryckich. Nie jakieś miejscowości, góry, miasta — ale poprostu Puerta del Sol, Las Rosas, Telefonica — gmach telefonów madryckich, poprostu Madryt. Ten lub ów jego sektor stołeczny, stał się dziś sektorem frontu. Miasto uniwersyteckie, cmentarz Pozuelo — oto krwawe tereny zaciętych walk. Przed kilkunastu tygodniami zapowiedziano wzięcie Madrytu z dnia na dzień. W słoneczne jesienne południe grupie dziennikarzy zagranicznych ukazano z bliskiej pozycji pierwsze domy Madrytu, zapowiadając iż jutro, pojutrze będziemy tam.

Minęło jutro, minęło pojutrze. Minęły dwa tygodnie — do Madrytu nie wkroczyliśmy.

Co się stało? Czemu wojska rządowe i milicjanci czerwoni, cofający się tak gwałtownie trzy miesiące temu odzyskali siłę oporu w tak wzmożonym stopniu, nie dopuszczając narodowej armji gen. Franco, wydatnie popieranej przez niemiecki i włoski materjał bojowy, do serca stolicy? Byłoby zbyt proste odpowiadać na to pomocą zewnętrzną, pomocą Sowietów! Pomoc ta jest bardzo istotna i wydatna, ale nie wystarczyłaby ona sama, nie wystarczyłyby również i bataljony międzynarodowe, złożone z ochotników: francuskich, niemieckich, belgijskich, żydowskich, polskich, włoskich, angielskich. Te międzynarodowe bataljony marksistów, komunistów, anarchistów nawet w sile 50.000 ludzi, jak je obliczają powszechnie, nie zaważyłyby decydująco na szali, gdyby nie zasadnicza zmiana typu wojny i psychologicznego nastroju robotniczych mas hiszpańskich.

Od chwili podejścia armji gen. Franco do Madrytu wojna domowa zmieniła zasadniczy charakter: z wojny operacyjnej stała się wojną pozycyjną. A wojna pozycyjna wśród ulic, przedmieść, domów, to nietylko okopy, *to barykady!*

Barykady, owa klasyczna rewolucyjna forma tłumów z policją, z wojskiem. Od r. 1848-go, żeby nie sięgać do dalszych dat, od wspomnień Komuny Paryskiej, od przypomnień wszystkich ruchów rewolucyjnych na całym świecie — barykady, to symbol zbrojnej walki robotniczej i rewolucyjnej. Nic więc dziwnego, że robotnicy Madrytu ustępujący armji gen. Franco w polu, odzyskali zapał i wartość bojową w chwili, gdy poczuli oparcie o domy, mury miasta, wąskie ulice, *o barykady raczej, niż okopy.* Bo trzeba to otwarcie przyznać: czerwonym hiszpanom nie brak odwagi w walce, tak, jak jej nie brak białym, czy niebieskim falangistom. Dlaczegóż by odwaga uzależniać się miała od takich, czy innych przekonań? Można śmiało twierdzić, że narodowcy hiszpańscy są mężni i że walczą z poczuciem *konieczności ofiary narodowej.* Jest wskutek tego wśród młodych falangistów bardzo żywy i silny pierwiastek religijny — coś z wojny świętej.

Po stronie czerwonych dziś odpowiada *rewolucyjna furja.* Furja natarcia wojennego. Furja nienawiści. Można ją klasyfikować rozmaicie — w sumie jednak daje to odważne, mężne, gwałtowne kontrataki. Kontrataki krwawe dla czerwonych. Kontrataki przeważnie małoskuteczne. Bo gdy czerwoni milicjanci czują się w swoim żywiole walcząc od barykady do barykady, to po stronie narodowców hiszpańskich walczy strategja wojenna i talent wodzów militarnych. W obecnym więc typie wojny, milicyjne oddziały hiszpańskie znalazły się w swoim żywiole. Inna rzecz, że ten okres walki zbiegł się niemal równocześnie z okresem maksymalnego nasilenia pomocy sowieckiej.

Pomoc ta wyraziła się nietylko w pierwszorzędnym materjale wojennym: aeroplany, tanki, karabiny maszynowe, zapasy amunicji, ale również w dostarczeniu fachowców wojskowych i instruktorów bojowych. Oni to doćwiczyli milicję czerwoną, oni organizowali i szkolili bataljony międzynarodowe. Kiedy dodamy te czynniki do okresu wojny barykadowej — otrzymamy w efekcie znakomite podniesienie się zdolności bojowej i ducha walki



Piechota narodowa na pozycji.

czerwonej milicji. Mimo wszystko, pod względem taktyki operacyjnej, w polu, gdy tylko barykady i domy ziejące ogniem z okien zostają poza nimi „milicjanci“ i „międzynarodowcy“ nie dorównują oddziałom generałów Franco, Orgaz'a, Molla — stąd płynie załamywanie się nawet brawurowych, nawet zwycięskich ich kontrataków.

Zdobywamy więc Madryt, wśród ciężkich zmagań już trzeci miesiąc. Zdobywamy wśród śnieżyc, mrozu, mgły, jaskrawych promieni słońca bo tegoroczna „ama“ hiszpańska jest wyjątkowo zmienna i kapryśna.

Ale wśród tych walk pozycyjnych są i momenty tragiczno-widowiskowe. Do nich należą walki tanków i walki powietrzne. Zabłąkane auto dziennikarskie wśród łamanej linji frontu znalazło się raz na linji krzyżowego ognia. Na rozkaz oficera przewodnika ukrywamy się w okopie. Po chwili od strony czerwonych wytaczają się cztery ziejące ogniem tanki. Na ich spotkanie ruszają trzy tanki powstańcze. Mamy przed sobą widok jakichś przedpotopowych bestji — suną, zapadają się, wyskakują niemal prostopadle z rowów. Odwracają się do siebie to tym, to inym bokiem. Kule grzechocą po ich pancerzach. Nagle tanki powstańcze zaczynają się cofać. Czerwoni zwiększają tempo. Szczególnie jeden wali „galopem“. Zdaje się że za chwilę zewrze się w boju wręcz z atakowanym tankiem narodowym. Już słyszymy w wyobraźni szczęk pancerzy, chrzęst taśm i zwarcie się tych dwuch hipopotamów żelaznych. Ale „nasz“ tank poprostu zmiata, dwa inne też.

„Galop“ czerwonych zdaje się nieubłagany. Już, już mają doścignąć cofających się. W tem zupełna zmiana sytuacji. „Nasze“ tanki zjeżdżają na boki, a niewidoczna dotąd baterja wali niemal a bout portant w zaskoczone tanki wyrobu sowieckiego. Pierwszy, odrazu trafiony, utknął nosem. Otwierają się drzwiczki, wyskakuje dwuch ludzi. Rzucają się do ucieczki. Salwa karabinowa. Jeden pada by nie powstać więcej, drugi zygzakiem sadzi jak jeleń. Druga salwa. Pada. Podnosi się. Znika. Uciekł.

Pozostałe tanki czerwonych wycofują się pospiesznie z linji obstrzału. Ale już wracają tanki



Z wysokości dachu spoglądają dziennikarze zagraniczni na operacje wojenne na przedmieściach Madrytu.

gen. Franco. Zmieniły taktykę. Wszystkie trzy idą na jeden z tanków czerwonych. Walka nierówna musi się dlań skończyć tragicznie. Dwa pozostałe „wyrywają“ ku swoim linjom. W zapale walki jednak zapędziły się zbyt daleko. Z linji powstańczych zrywają się „myśliwi“. To zwinni jak małpy marokańczycy. Biegnie ich po kilkunastu za tankiem. Biegną tuż, tuż. Są niedosięgalni dla mitraljezy tankowej. To ich ulubione polowanie. Rzucają butelki z benzyną i specjalną mięszanką przez górny otwór. Gdy wreszcie trafią, płyn pada wewnątrz na rozgrzany motor, na zbiornik tanku. Jedna chwila. Następuje wybuch i pożar wewnątrz tanku. Czasem załoga ratuje się by... paść pod ciosami marokańczyków. Czasem ginie w płomieniach wewnątrz.

Tragiczny widok. Dramatyczna walka. Nauka dla przyszłej wojny. W domowych starciach wojny hiszpańskiej, specjalnie duża ilość tanków... poległa.

Wojna w powietrzu nie mniej wstrząsających dostarcza wrażeń. Rycerskość lotnictwa jest przysłowiową, a jednak, i tu zasadą walki jest uderzenie większej liczby na mniejszą. Atak pięciu na jednego, atak całej eskadry na jednego, to moment walki o który się stara, zabiega.

Nikt nie myśli o pięknie pojedynku jednego z jednym. Nic podobnego.

Na skraju Casa de Campo — dostrzegamy dramatyczny pościg. W górze niezwykle wysoko „uwija się“, osaczony w obłokach lotnik czerwonych. Dziesięć, dwanaście, po chwili piętnaście już aeroplanów pościgowych narodowców otacza go, zatacza koła, chce go dosięgnąć „z wysoka“. Odległy trzask karabinów maszynowych. Pościg pełen niezwykłych akrobacji lotniczych. Nic dziwnego — nagrodę stanowi ucieczka, przegrana — to śmierć.

Baterja przeciwlotnicza zabiera głos. Pióropusze białe ukazują się wśród obłoków. Czerwony aeroplan teraz jakby szukał kontaktu z pościgowcami. Czuje że im jest bliżej, tem trudniej może go dosięgnąć artylerja z ziemi. Bój... wznosi się co raz wyżej. Nagle czerwony samolot zadrżał, zachwiał się. Trafiony, Spada. Spada jak zmiętoszony biały obłok. Wtem obejmuje go blask. Czerwony, klonowy liść jesienny? Czerwony ptak, czy krwawa chusta wirująca w obłokach? To ogień. Samolot płonie i spada. Spada w Garabitas. Kadłub ciężko wbija się w ziemię. Nadbiegający żołnierze wydobywają zwęglone zwłoki pilota - cudzoziemca. Jakieś listy, pocztówki w obcym pisane języku, ocalały w strzępie lotniczej kurtki. Schwytany, dognany, strącony, jest garstką popiołu, kości — poległ za czerwoną Hiszpanję.

Takich widoków, takich obrazów mamy tu poddostatkiem. Za czerwoną, za białą, za niebieską Hiszpanję przelewają się rzeki krwi — cierpi za nią Hiszpanja bez kolorów, Hiszpanja szara. Hiszpanja poprostu.

KARNAWAŁOWE ROZKOSZE WARSZAWY

W POŁOWIE UBIEGŁEGO STULECIA

Wobec stale wzrastającego zainteresowania życiem i obyczajami Warszawy za czasów naszych pradziadów, zamieszczamy poniżej dwa charakterystyczne fragmenty, ilustrujące zabawy stolicy w połowie wieku XIX-go.

— Wieź mnie na jaką zabawę ludową — rzekłem do dorożkarza, wsiadając.

Dorożkarz odwrócił się, spojrzał na mnie i kiwnął domyślnie głową.

— O! to już wiem, co pan chce! — zawołał. — Pojedziemy do Złotej sali, tam pan dopiero użyje, jakie tam dziewczęta! co za kapela! a jakie piwo!

I na wspomnienie ulubionego napoju cmoknął głośno językiem.

Uśmiechnęła mi się ta myśl.

— Wieź mnie do Złotej sali — odrzekłem.

Antre kosztowało złotówkę. Za tak wielką zabawę mała bardzo zapłata — pomyślałem, — ale nie wszyscy się bawią, którzy płacą wiele. Przy wejściu do sali odurzył mnie nagle jakiś dziwny zaduch i hałas, pochodzący z tak licznie zebranego tłumu. Z początku nic prawie rozróżnić nie mogłem, bo chociaż sala nieźle nawet była oświeconą, unosiła się w powietrzu jakby mgła jakaś, pochodząca z wyziewów tańca, dymu, fajek i niezbyt wytwornego oleju palącego się w lampach.

Stanąłem więc chwilę rozpatrując się po zgromadzeniu.

Było ono dziwnie różnobarwne, bo mogłeś tam znaleść wszystkiego po trosze.

Więc pomiędzy zebranymi gośćmi, począwszy od fraka aż do prostej sukmany, każdy ubiór był tam reprezentowany. A niektórzy obywali się nawet bez tej zwierzchniej sukni, która nam, nasiąkniętym przesądami towarzyskiemi, wydaje się tak konieczną, rozgrzani bowiem tańcem i częstemi libacjami, poporzucali ową zbyteczną część swojego ubioru gdzie w kącie albo pod ławą, i tem raźniej hulali sobie zakasawszy rękawy od koszuli i zdjąwszy nawet chustki z szyi dla większej swobody. A nie zważano tam również na ów wysławiony *kontenans*, o który tak dbają w naszych salonach. Wielu bardzo miało w ustach krótkie fajeczki, z których kurzyli bezprzestannie bakun i dreikenig, dwie plagi zesłane na nosy ludzkie, jako kara za nadużycia zmysłu powonienia; inni znów trzymając w ręku butelki piwa i szklanki, częstowali bezustannie siebie i znajomych, rozpychając niemiłosiernie tańczących, inni nareszcie uzbrojeni sążnistemi puterszenitami, kiełbaskami, blutwurstami i tym podobnemi wymysłami rzeźnickiego kunsztu, albo nawet całemi kawałami gorącego mięsa, spożywali je w ciągłym ruchu i szli do tańca z pełnemi jeszcze ustami, nie dbając o serwety, bo suknie tancerek zastępowały im należycie ten sprzęt nadetatowy. Arystokracja siedziała na ławie przy murze, zapijając herbatę hojnie dolaną arakiem, niektórzy zaś uwijali się koło bufetu, umieszczonego w przyległej izbie, częstując płeć piękną, która do żadnych ceremonjalnych fochów nieprzyzwyczajona, przyjmowała chętnie co Bóg dał, a na co starczyła kieszeń chwilowego adoratora, rywalizując w apetycie z mężczyznami i nie ustępując im wcale w użyciu piwa i wódki.

Owa płeć piękna trochę strojniej i schludniej przybraną była od męskiej połowy ludzkości, chociaż i tu dziwnym rzeczom można się było przypatrzyć. Więc jedne były z gołemi głowami, inne w czepcach, niektóre nawet w kapeluszach. A co szczególniejsza, na panującą porę roku, bo jak powiedziałam działo się to w zimie, najwięcej z tych kapeluszów było słomkowych. Niektóre greckim obyczajem obywały się bez pończoch, i zauważałem nawet że te najochotniej wywijały, co dowodzi że pończochy niepotrzebnym są tylko ciężarem, bez praktycznego użytku. A jakie to tam były chustki i zarzutki, to i pani Zofja Gay, tak biegła w opisywaniu przedmiotów tualetowych, nie potrafiłaby wyliczyć. Suknie po większej części nie grzeszyły długością ani świeżością barwy, wygorsowanych zaś prawie nie było, co dowodzi w jakiem tam poszanowaniu była prawdziwa przyzwoitość ubrania, na jaką my w naszych balowych zebranich tak mało uważamy. Były i takie które miały na ręku rękawiczki, a w tych nawet po dwa albo trzy palce znajdowały się całe, ale były to widocznie damy z wyższego już tonu, ogół bowiem tańczył z bosemi rękami, co i wygodniej i dogodniej, bo w tak ożywionym tańcu jaki miał miejsce, trzeba się djabelnie krzepko trzymać, a rękawiczka zawsze ślizga i łatwo zsunąć się może.

Sala sama była dość wielka, kształtu podługowatego, największy tłum pośrodku gdzie się odbywały tańce, koło murów zaś można było przejść prawie swobodnie. Po prawej stronie od wejścia była urządzona wystawa nakształt galerji, gdzie się wchodziło po wschodach z samej sali. Tam się usadowiła muzyka, ale znajdowali się tam także i liczni goście, przypatrujący się z góry tańczącym. Część tych widzów siedziała, część zaś stała na ustawionych rzędem stołkach, dla uzyskania rozleglejszego widoku.

Chociaż jak wspomniałem, muzyka umieszczona była na wystawie, to główny jej dyrektor, żyd brodaty w tradycyjnym ubiorze swojej kasty, nie odznaczającym się zbytnim porządkiem, stał w środku sali, w największym tłumie, mając przy sobie w charakterze adjutantów dwóch niepełnoletnich bachorów, z których każdy trzymał w ręku koniec grubego a długiego szpagatu. Każdy taniec trwał około pięciu minut, po których następowała przerwa. Wówczas bachory z niesłychaną sprawnością opasywały szpagatem koło tań-

czących, a pan dyrektor orkiestry okrążał koło z jarmułką w ręku, w którą z hojnej dłoni tancerzy sypały się piąteczki, co było z góry już oznaczoną opłatą za każdy skonsumowany taniec. Kto nie chciał dalej tańczyć, wychodził z koła, a w zamian wchodzili nowi pretendenci, trzymając pod rękę damy, które nic nie płaciły. Chociaż zdarzało się także, że jaka partja dam żądnych pląsów, którym los, brak urody albo znajomości, odmówiły tyle potrzebnego w takich razach męskiego sukursu, wchodziła bez ceremonji w koło zakreślone sznurkiem, i tam po złożeniu dobrowolną składką żądanej pięciogroszowej sumy, ujmowała się pod boki i wywijała w najlepsze w kole, nie uważając na razy ciężkich podkówek tancerzy, zapominających często uszanowania, płci pięknej winnego.

Po uiszczeniu zapłaty trzeba się było zgodzić na taniec, jaki muzyka miała zagrać, i wówczas to największy zwykle powstawał hałas. Bo jeden chciał tego, drugi owego, a rzadko kiedy odrazu następowała ogólna zgoda. Krzyczano więc polka, walc, oberek, a czasem mazur i *kotrydans*, chociaż myliłby się ten, którvby myślał że te dwa ostatnie tańce odbywały się tam w porządku zwykle po salonach używanym. Tak mazur jak i kontredans tańczył się tam wkoło, nakształt walca lub oberka, z różnemi tylko wykrzywieniami i pociesznemi grymasami. Miało to niby zastępować figury. A ponieważ te figury robiły zwykle jakieś zamieszanie, jedni stawali, drudzy rozmachiwali się jeszcze silniej, więc zawsze prawie zanim muzyka skończyła grać owego mazura lub kontredansa, połowa par leżała na ziemi, gramoląc się jedne zpod drugich, klnąc i nakrzykując wzajemnie.



„Na Złotej Sali".

rys. Fr. Kostrzewskiego.

Więc jak powiedziałem, przed każdem rozpoczęciem tańca wielki był tartas i rwetes, często nawet przychodziło do bójki. Wówczas starozakonny dyrektor orkiestry, występował jako rozjemca, raz dla miłości drogiego pokoju, powtóre dla uniknienia straty drogiego czasu. Ale że to gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą, i jemu zdarzyło się czasem coś oberwać. Były to jednak rzadkie wyjątki, wzbudzał on bowiem w ogóle wielkie poszanowanie jako poborca tamecznych podatków i prawowita władza, bo orkiestra zadzierżawiona przez niego, jego tylko skinieniu była posłuszną. Miejsce pałeczki dyrektorskiej zastępowała owa jarmułka, którą gdy kładł na głowę, po wydobyciu z nej złożonej przez tancerzy opłaty, orkestra, zaczynała rzępolić żądanego tańca. Skoro zaś zdejmował z głowy jarmułkę, muzyka ustawała nagle, chociażby w samym środku taktu i rozpoczynała znany smutny marsz, podczas którego odzywały się wrzaskliwe krzyki tancerzy i piski kobiet, obrzucające żyda wymysłami, że zawcześnie dał znak przestanku. On jednak nie zważając na to wszystko, z zimną krwią godną bohaterów starożytności, dawał znak bachorom, którzy w jednej chwili rozkładali szpagat, i wszystko musiało wracać do należytego porządku i pięciogroszówki sypały się z kieszeni. Tancerze bowiem, znając niczem niewzruszoną stałość potomka Machabeuszów, wiedzieli dobrze że dalsze wymysły na nic się nie przydadzą, a tylko przyczynią się do straty drogiego czasu, który należy koniecznie na nowy zużytkować taniec.

Dobre pół godziny minęło, zanim rozpatrzyłem się w tem mojem otoczeniu, a muszę przyznać

że cała ta nowość widoku nie była dla mnie bez zajęcia. Stałem tuż przy kole tańczących, w miejscu gdzie gdzie ścisk był największy, nie dbając na szturchających i na popychających mnie, a popychając wzajemnie bez różnicy czy to mężczyzny czy damy, bo tam w obu pięści i łokci panowała najzupełniejsza równość, a płeć piękna umiała sobie doskonale dawać radę w torowaniu drogi przez tłum.

Wtem, pośrodku najzawziętszego oberka, jakaś dziwna fluktuacja dała się uczuć pomiędzy otaczającemi mnie. Widocznie byliśmy napierani z tyłu i popchnięci na tańczących. Ale przez kogo?

Obejrzałem się.

O kilka kroków za mną torował sobie drogę przez ścisk jakiś chłop ogromny rozpychając na prawo i na lewo wszystkich, których przed sobą napotykał. A widocznie był to jakiś znakomitej powagi człek, ogólnem uważaniem się cieszący, bo tłumy rozstępowały się przed nim z poszanowaniem, i bez szemrania, chociaż nie jednego odwróconego tyłem, który nie widział go nadchodzącego porządnie przywitał pięścią. Atletycznej urody, pleczysty i barczysty, przenosił głową wszystkich gromadzących się około niego, a mina jego tak była czupurna i nasrożona, jak gdyby ją okrywała nie stara furażerka z nawpół oddartym daszkiem, dobrze nachylona na prawe ucho, ale kask jaki rycerski z koroną najmniej książęcą. Cała twarz jego była czerwona jak burak, zpod ścieśnionych i gęsto nastroszonych brwi, łyskały oczy złowieszczym jakimś blaskiem, na który niejedna już zapewne butelka piwa i kielich wódki musiały się złożyć. Stary jakiś nieopisanej barwy surdut, zdjął był ze siebie i przewiesił na lewem ramieniu, rękawy od koszuli zakasał po łokcie, a ogromne juchtowe buty tego podkute, za każdym jego krokiem ciężko stukały na posadzce. Chustki na szyję nie miał wcale, a koszula rozdwajająca się na piersiach, herkulesowskie odkrywała kształty. Zpod krótkiej kamizelki sukiennej na jeden mosężny zapiętej guzik, taż sama koszula wydobywała się w fałdy i festony, jak u dworaków francuskich z czasów Henryka III, i nawpół przykrywała gruby rzemień, który na potężną spięty sprzączkę, ściskał wpół całą tę olbrzymią budowę. U prawej jego ręki szła uwieszona jakaś jejmościanka, z talją odkrytą, widocznie dumna i radosna z tego, że ją sobie obrał za towarzyszkę. Była ona ubrana w niby białą suknię, o kilku falbanach, pomiętoszoną nielitościwie, ochłapniętą z tyłu i po bokach, a przewiązaną jakąś różową wypłowiałą wstążką, która z prawej strony zwijała się trochę w kształt szpagatu. Ogromna sprzączka bronzowa, pomnik minionej już wówczas mody, ozdabiała z przodu tę wstążkę, a w uszach wisiały niemniej wielkich rozmiarów tombakowe kolczyki, nasadzone szklannemi klejnotami, których zapewnie ojczyzną musiał być sklepik pociejowskiego jubilera. Włosy świecące zdaleka od sporej dozy tłuszczu, podwinięte były w jeden ogromny pukiel naokoło głowy, podług najświeższej mody, ogólnie wówczas panującej, w pewnych klubach pięknej płci warszawskiej. W prawej ręce trzymała parasolik ze złamaną rączką, w lewej zaś, którą przełożyła pod ramię swojego partnera, sterczała resztka anyżowego piernika, którą z najzimniejszą krwią dogryzała sobie w drodze.

Zapatrzywszy się na tę oryginalną parę, zapomniałem się prędko z drogi ustąpić, i ostrzegło mnie o tem zapomnieniu silne uderzenie pięścią i głos, którego grubego brzmienia mógł śmiało pozazdrościć Lablasz, nawet w czasach największej swojej świetności.

— Z drogi, bo ja idę!

Na tak niezbity argument, ustąpiłem się szybko, i dozwoliłem szanownej parze zbliżyć się do tancerzy, w najlepsze wówczas wywijających. Ów olbrzym stanął przed samem kołem, i tak uderzył silnie po ramieniu pana dyrektora orkiestry, który zapatrzywszy się przed siebie, rachując powoli takty, nie wiedział co się z tyłu za nim działo, że ugiął się pod tym niespodzianym ciosem, i odskoczył jak oparzony, usłyszawszy nad uchem stentorowym głosem wymówiony wyraz:

— Stój!

I o dziwo! jak tylko pan dyrektor orkiestry ujrzał nowego gościa, odwrócił się skwapliwie, zgiął się w pół dotknąwszy nawet ręką jarmułki, i zawołał tonem który chciał o ile możności najprzyjaźniejszym uczynić.

— Kikste! pan Kasper, ja miszlał, że pan dzisiaj tańcowuje pod trzech murzynów.

— Widzisz że tu przyszedłem, — odpowiedział pan Kasper, — a ponieważ przyszedłem każ łapserdaku grać mazura, tylko od ucha. A tu masz dla siebie.

I to mówiąc, wyjął z kieszeni sporą garstkę miedziaków, i sypnął w nadstawioną rękę żydowi.

I w jednej chwili sygnał jarmułkowy zmienił dotychczasowego oberka w owego znanego już dobrze z licznych przestanków żałośliwego marsza, i żyd krzyknął z całej siły aż podskoczywszy do góry, żeby lepiej dać się usłyszyć:

— Hersz! mach mimo oberkie, iezt mazurkies mit pobrzdąkiwanego und dzwonkełe.

I rzeczywiście w jednej chwili ozwał się naprzód chrapliwie niedostrojony klarnet, potem skrzypce, za nimi tołumbas, spóźniając trochę akompaniamentu, i w duch zagrzmiała cała orkiestra, jakiegoś znów oberka, tylko innego rodzaju niż poprzedni, a odznaczającego się tem, że do zwykłego kontyngensu instrumentów przybyło jeszcze tamburyno z dzwonkami, dziwny i niewłaściwy stanowiące efekt w tej narodowej nucie, niemającej nic wspólnego z cygańskiemi melodjami.

Obeszło się nawet tym razem bez zwykłej operacji szpagatowej, zwłaszcza że taniec był w połowie przerwany, i też same pary, które już były za oberka zapłaciły, rozpoczęły mazura, to jest jak już mówiłem, takiegoż samego oberka z zatrzymywaniem się i podskakiwaniem, a przewodniczył wszystkim pan Kasper z czapką na głowie i surdutem na lewem ramieniu, podtrzymując silnie swoję damę, która dawszy przyjaciółce parasolik do trzymania, uczepiła się tancerza obiema rękami, i resztą piernika zapchała sobie usta, tak iż zdawało mi się iż z każdą chwilą powinno jej tchu zabraknąć.

POŁÓW PEREŁ



Miłe złego początki...

...lecz koniec, oczywiście, żałosny. W tak zwanym „swoim czasie“ — lat temu chyba ze siedem — pewien pomysłowy rzeźbiarz wymyślił sobie a kolegom nieoczekiwane źródło dochodów: wymalować całe Stare Miasto! Wszystkie kamienice. Tak — „na perłowo ze szlaczkiem“, jakby powiedział słusznie Wiech.

Póty chodził a molestował — a już on to potrafi — aż przekonał „ojców miasta“ (wtedy tacy istnieli) — że niby bez tego Warszawa jest niczem. Że jak tak opacykują owe kamieniczki staromiejskie, to się tu zaraz, panie dziejski, zacznie ruch turystyczny, aby te cuda oglądać — że z bieguna południowego będą ludzie walili ekspresem, aby sobie te malowanki obejrzeć. „Ojcowie miasta“ — jak to zwykle ojcowie — poczciwi może byli — ale o sztuce nie mieli najbledszego wyobrażenia. Więc, przyciśnięci do muru przez wytrwałego aranżera, uwierzyli, że „prestiż stolicy“ od tych tam kalkomanji zależy.

Dali swoje placet.

Ale nie o placet tylko chodziło.

Chodziło właściwie — o *„placet“*.

I to o sumy, jak na nasze stosunki, wręcz bajońskie.

„Ojcowie“ udzielili kredytu. Myśleli, że to „tymczasem“ — a że już potem właściciele zaszczyconych kamieniczek zwrócą obole za te arcydzieła.

Co państwo powiedzą? Nie zwrócili. I właściwie mają zupełną rację. Nikt się ich o zdanie nie pytał. Malatura na domu Icka Popycka nawet mu się wcale nie podoba — a tu za nią płać! I to grube dziesiątki tysięcy.

Odmówili.

Podobno cała sprawa ma się zakończyć w sądzie...

Płomyczkowa nauczycielka

Jak donosi „Goniec Warszawski“, w szkole powszechnej na ul. Handlowej na Targówku nauczycielka zmuszała dzieci do kupowania „Płomyka“ w ten sposób, że zadawała im wiersze i powiastki z tego pisma. („Płomyk“, jak wiadomo, nie jest podręcznikiem, ani nawet lekturą obowiązującą). Jedna z uczenic, której ojciec jest bezrobotny, nie miała pieniędzy na kupienie sobie „Płomyka“. Wtedy „rozpłomieniona“ nauczycielka przez trzy dni z rzędu kazała uczenicy klęczeć i po lekcjach przetrzymała ją zamkniętą — tak, jak to nam ojcowie opowiadali — „w kozie“. (Postępowa nauczycielka wznowiła dość pomysłowo ten oddawna już zarzucony system „pedagogiczny“... I zaczęła tę motodę stosować na szerszą skalę).

Możeby ktoś mniej „płomienny“ wejrzał przytomnie w tę sprawę?

W fundacji Potockiego swąd

Dziwy się wyprawiają z tą nieszczęsną Fundacją Jakóba Potockiego. Znalazł się raz w Polsce człowiek, który posiadał olbrzymi majątek i wolę zużytkowania go pożytecznie dla społeczeństwa. Zrobił fundację nie na miarę krawca — a na miarę Fidjasza. I tak jakoś nieszczególnie trafił, że kwasy, wydzielające się z owej Fundacji, zatruwają powietrze już od chwili jej powstania.

Szeptano sobie cicho, a potem coraz głośniej, że dzieją się tam cudeńka. „Wykonawcy testamentu“, usiadłszy mocno na swych suto płatnych posadach, trzymali się ich rękami i nogami, odmawiając Radzie Fundacji zdania rachunków i nieruchomości, stanowiących własność Fundacji. Wreszcie — pod przymusem — oddali. Widać jednak nie wyszli z tej opresji zupełnie czysto, bo oto czytamy, że wykonawcy testamentu, pp. Czuruk i Moszyński (były starosta czy wojewoda w Galicji) — pociągnięci zostali do odpowiedzialności za przewinienia, których się dopuścili w czasie swego urzędowania. Skargę wobec ważności sprawy, przekazano sędziemu do spraw szczególnej wagi.

Brzydko pachnie.

Kumulacja

Nietylko u nas prowadzi się walkę z t. zw. „kumulacją posad“. Idzie ona obecnie na całego i we Francji. Ale ludek paryski umie każdą rzecz brać na wesoło — i każdą ośmieszyć dowcipem. Krąży tedy po Paryżu taka anegdota:

Spotkało się dwuch przyjaciół. Jeden z nich — żebrak i włóczęga, drugi — sprzedawca gazet. Pierwszy pyta:

— Ponieważ ty siedzisz w prasie, powiedz mi, co to jest ta jakaś kumulacja?

— No — to jest właśnie to, co ty robisz: rano zbierasz niedopałki papierosów. W południe śpiewasz po podwórkach. Wieczorem przed wejściem do kina otwierasz drzwiczki taksówek. To jest właśnie typowa kumulacja...

Flegmatyczny

Jeden pan był w kawiarni, u Lardellego. W pewnej chwili spostrzegł, że do wieszaka podszedł jakiś jegomość, zdjął jego własne palto i skierował się ku wyjściu.

Właściciel palta przyglądał się, czekając, co będzie dalej.

Ciekawość ta kosztowała go sporo.

Ponieważ wszczął alarm dopiero wtedy, kiedy tamten zniknął już na horyzoncie, przeto stracił bardzo przyzwoite paletko.

„Biedaczek“ — powie dusza litosierna — i serdecznie się nad nim użali.

Biedaczek? Nic podobnego. Człowiek... spokojnego usposobienia, powiedzmy.

„Wolnodumiec“, jak mawiano „za taty“.

Nasze kolonje

Dużo i słusznie mówiło się i pisało ostatnio o kolonjach dla Polski. Niewątpliwie potrzebujemy ich. Potrzebujemy surowców. Potrzebujemy ziemi dla nadmiaru ludności. Potrzebujemy rynków dla naszego przemysłu. Ale mamy niestety u nas jeszcze dotąd olbrzymie „tereny kolonjalne", niemal równie prymitywnie zagospodarowane, jak właśnie dalekie zamorskie krainy.

„Kurjer Poranny" zamieścił tragiczną mapę konsumcji, mapę, która wielkim głosem woła o nędzarskim poziomie życia *dwóch trzecich* obszaru Polski.

Tak zw. „Polska A" — czyli zachodnia, uprzemysłowiona, wytwarza i konsumuje. Ta druga Polska, „Polska B" — wegetuje.

Oto liczby dla tej drugiej Polski. Konsumcja energji elektrycznej, w stosunku do całej energji zużytej w kraju — 7%. Konsumcja kawy — 5%. Konsumcja nawozów sztucznych — 20%, konsumcja żelaza — 20%.

Mamy tereny kolonizacyjne w Polsce.

Sport „amatorski"

Prasa polskiej emigracji we Francji z oburzeniem napiętnowała chciwość polskiej drużyny piłkarskiej „Ruch", która zażądała za „występy" w Lille 5 tysięcy złotych, oraz koszty przejazdu, hoteli i utrzymania. Obliczywszy dokładnie realne koszty, zostawało dla każdego gracza „na drobne wydatki" — *140 fr. dziennie.* „Ruch" przytem drapował się w togę „propagandzisty" sportu polskiego — i twierdził, że do tego wyjazdu wogóle „dołoży"...

Sport amatorski — panowie?

Gdzietam! To są *amatorskie — ceny.*

Lwy „Made in England"

Nie będzie mowy o „lwach salonowych". Zwyczajnie — o takich z ogrodu zoologicznego. Oto jak pisze „Robotnik" zoo londyńskie sprzedało ostatnio partję lwów. Nic wielkiego—to się praktykuje codzień, powie czytelnik. Tylko, że te lwy sprzedano na eksport do — Afryki południowej. Skąd właśnie lwy pochodzą. A dzieje się to dlatego, że w Londynie lwy mają tak świetne warunki „bytu", iż się doskonale i obficie rozmnażają.

W Afryce zaś do tamtejszego zoo trzeba sobie lewka z pewnym mozołem... upolować.

Taniej i łatwiej wypada — importować go — z Europy.

Dżentelmeni na lodzie

Był w Krynicy turniej hokejowy. Biły się drużyny katowickiego „Dębu" i krynickiej „Jaworzyny". Państwo powiedzą zapewne: „Nie mówi się *biły się*—tylko *walczyły*".

Tylko cóż. One się właśnie — *biły.* Prały się po pyskach, aż do wybijania zębów włącznie. Tak się u nas rozumie — sport...

Rozkoszni sportowi dżentelmeni.

Tempo! Tempo!

Spieszymy się coraz bardziej. Rower. Motocykl. Samochód. Aeroplan.—Oto etapy coraz bardziej nerwowego wyścigu ludzkości. Tempo! Tempo!

Czy jesteśmy przez to szczęśliwsi?

Puszczono w tych dniach z racji wystawy samochodowej „przedpotopowe" omnibusy konne po Paryżu. Wyciągnięto je z lamusa. I jak przed ćwierć wiekiem, poczłapały sobie wolniutko i rozkosznie w parę rosłych perszeronów poczciwe omnibusy z „imperialem", z którego tak się przyjemnie obserwowało życie ulicy paryskiej.

Usiedli na takim „imperialu" obok siebie dwaj Francuzi: stary i młody. Stary był zachwycony. Przypomniały mu się młode lata. I o ileż to milej jechać tak bez pośpiechu. Młody odburknął:

— My młodzi jesteśmy dynamiczni! My chcemy tempa! Nam się śpieszy!

Stary zapytał łagodnie:

— Do czego? I poco?

— Wie pan — że nie wiem. Właściwie do niczego, — przyznał młody po chwili namysłu.



I ty mu wierzysz, biedna dziewczyno?

Pewien odłam polityków francuskich nie znalazł nic lepszego dla zapewnienia światu pokoju powszechnego — jak zaproponowanie Niemcom wydatnej pomocy gospodarczej. Wzamian za to szanowni idealiści pragnęliby dostać od Niemiec zapewnienie o ich bezwzględnym zamiarze utrzymania pokoju.

Zapewnienie panowie dostaną — czemu nie.

I pomoc gospodarczą Niemcy skwapliwie przyjmą — czemu nie. Ludność dziś już nadto tam sarka, że jednak armatami trudno zastąpić masło w przygotowywaniu codziennego obiadu.

Więc zdawałoby się — wszystko w porządku?

Naturalnie. Pozostaje tylko maleńkie, niedyskretne pytanie: *Kiedy* Niemcy podrą ten nowy świstek papieru?

O mój rozmarynie rozwijaj się

Takbyśmy mogli zaśpiewać w stronę ukochanych polskich karteli, które nas mimo i wbrew wszelkim zapowiedziom — dławią po dawnemu.

— Jakto — zdziwi się ten i ów — przecież zapowiedziano z kartelami walkę? Przecież mnóstwo z nich skasowano! Przecież o powstawaniu nowych niema mowy, i nic się o tem nie słyszy...

Nie słyszy się — to prawda. Ale one sobie powstają — *w cichości.* Chociaż nam w grudniu roku 1935 najmiłościwiej rozwiązano około 100 karteli — jednak w ciągu roku 1936 zarejestrowano... 42 kartele. Nowe, albo... wznowione.

Najpikantniejsze właśnie jest to, że, jak donosi „Kurjer Czerwony", niektóre kartele z rozporządzenia władz rozwiązane w roku 1935 zostały znowu zarejestrowane w roku 1936.

Rozmaitość wierzeń

Na jednym z cmentarzy międzynarodowych europejczyk składa na grobie kwiaty i widzi chińczyka, który na grobie swego bliskiego ustawia miseczkę z ryżem.

„O której godzinie twój krewny przyjdzie zjeść swój ryż?" — zapytuje europejczyk z ironją.

„Zapewne o tej samej, o której pański krewny przyjdzie powąchać te kwiaty" — ze spokojnym uśmiechem odpowiada chińczyk.

Uparty nurek.



Dzieci hinduskie nad morzem.

H. KOROLEC-BUJAKOWSKA.

W GŁĘBI

Korespondencja

Przechodzą mimo kobiety w zakasanem „sari", z czerwoną kropką na czole, z kolczykiem w nosie i wianuszkiem kwiatów, wpiętym w węzeł włosów. Obojętnie mijają symbol Boga białych, zbierając po drodze święty kał krowi.

Najświętsze stworzenia stoją stadami w lesie, żując skromną strawę i dając trochę chudego mleka, które naturalnie wypijają biali z nad morza, płacąc na wagę złota.

Czarne, lśniące czystością bawolice, to chluba każdego hindusa. Myje je codzień, czyści, maluje im rogi. Sam doi.

Od rana w lesie wre ruch codziennej pracy. Woły z zawieszonemi oczami kręcą koła studzien. Dzieci bogatszych mieszkańców idą do szkoły. Grzecznie uczesane, umyte. W czystem, długiem sari, z wianuszkiem na głowie, ze stosem książek pod pachą idą po dwie małe dziewczynki. Gromadki chłopców dążą w tym samym kierunku. Bez różnicy wiary i kast wszyscy czerpią wiedzę przy małym kościołku, w szkole Ojców.

Inne dzieci ściągają liście palmowe. Pomagają przy obrządzaniu bydła, lub plotą maty.

Ślicznie wygląda, gdy kilka bab się zbierze przy jednej chacie. Rozsiądą się na ziemi, plotą maty i plotkują.

W zagrodzie przy bawolicach siedzi całemi dniami stary hindus. Przykrawa suche liście, wiąże je w paczki i układa na stos. Tak codzień. Od świtu do zmroku. A liści spada co noc tyle, że niema czasu wszystkich wyzbierać. Pomimo to jest strasznie chciwy i robi okropny hałas, gdy mu ktoś jeden liść podniesie.

Ale niech saab z nad morza zagłębi się w te strony! Nic mu nie wolno. Ni przejść przez kamienny rowek, ni siąść na liściu. Ni podnieść spadłego kokosa. A jakby mu przyszło na myśl wleźć dla sportu na palmę, krzyk by się podniósł większy, niż w małpiem królestwie.

Chyba musiałby zapłacić za całoroczny plon tej palmy, lub wynająć ją na parę lat. Bo siedź u siebie, gdy masz lepiej.

Wystarczy przejechać autem, lub przegalopo-

Na skraju lasu, nad brzegiem morza, europejski obóz namiotów. A co jest w głębi lasu? Pantery, dzikie słonie...

Coś jest. Jak się zapuścisz maszyną, lub pieszo w wązkie piasczyste drogi, cały las, pocięty na kwadraty i kwadraciki kamiennemi murami i rowkami do deszczowej wody, kipi gwarem życia.

W zielonym gąszczu palm skryły się szałasy z suchych liści. To cała wioska. Przypuszczam, że długo trzeba brnąć w gąszczu palm i cierni, by określić jej granice.

Wystylizowane, pogięte palmy chylą kornie głowy przed maleńką świątynią hinduską. Stoi naiwna kapliczka przykryta czerwonym kapturkiem dachu nad kwadratowym basenem stawu. Na kamiennych schodach pożółkłe, spadłe liście, jak u nas wczesną jesienią.

W głębi lśni zielenią pleśni trochę zgniłej wody, gdzie z pluskiem uciekają żaby spłoszone krokami przechodnia. Co wieczór jakaś niewidzialna ręka zapala ogień wewnątrz świątyni. Co wieczór głucho biją modlitewne tamtamy.

Tylko w niedzielę zagłusza je straszna orkiestra wioskowa, grając od ucha skoczne melodje przed wrotami drewnianego kościołka. Bo i tu są misjonarze.

Na każdym zakręcie w opłotkach stoi malowany krzyż przydrożny. U stóp krzyża siedzi bronzowy golasek z religijnym ogonkiem hindu na ogolonej głowie.



Srebrny, błyszczący łup



Barka rybacka.

LASU

własna „Świata".

wać konno przez cienisty las. Masz przecież morze, cudne, błękitne, szafirowe, zielone. Morze z białemi grzywami fal. Z bezkresną fachą piaszczystej plaży.

Tam bezkarnie rządzi biały. Gra w golfa. Jeździ konno. Prowadzi pieski na spacer. Dyszy w cieniu parasola. I kąpie się od rana do nocy. Ślizga się po falach na desce. Przewraca na gumowym materacu, lub pokracznym krokodylu, naturalnie też z gumy.

Codzień przypływ wymywa biały piach, rzucając muszelki, jak klejnoty. Codzień małe kraby haftują koronki z piasku. I codzień kopyta końskie niszczą ich mozolną pracę.

Gwiazdy, kwiaty, dziwaczne rysunki. Warto popatrzeć, jak pracuje taki maleńki krab. Kopie małą dziurkę w piasku i chowa się. Wybiega, niosąc w łapkach wygrzebany piasek. Zakręci w kulkę, napluje i rzuca daleko od norki. Tak szybko, szybko biegając, plując, pracując, zahaftowuje szeroki krąg. Dziurka już dość głęboka. Ostatnią kulkę splunie tuż przy wejściu i schowa się na dłużej, zadowolony ze swej pracy.

Rano, gdy przegalopują zapaleni jeźdźcy gdy przebiegną, skopią biały piach sportsmeni i pieski. Pustynnie jest i zbyt słonecznie. Morze podchodzi. Huczy. Wtedy przylecą na połów, jak rybitwy, białe barki rybackie. Na wzdętych żaglach zatoczą krąg. Zarzucą długie, czarne sieci niewodu. Półnadzy piraci, po pas brodząc w wodzie, sprężonemi muskułami ciągną.

Ciągną, aż na piach brzegu, srebrny, iskrzący łup. Zbiegną się skądziś z lasu małe, brudne dzieciaki, by patrzeć z palcem w buzi szeroko otwartej na zielone, wąsate langusty, na wzdęte brzuszki powietrznych rybek. Takie wzdęte, jak ich, a może więcej...

Zbierają resztki wyrzucone na piasek z rybackiego kosza. Powędrują po plaży bosemi nóżkami, trzymając się za ręce. Przejdą przez rząd szałasów i namiotów polowych. Pod płotem bungalów, gdzie mieszka saab i jego złotowłose baby w błękitnych majteczkach, w dłużem, białem topi. Baby ma taką śliczną, czerwoną piłkę.



Ładowanie sieci na łódź.

Co dzień wschodzi i zachodzi słońce na bezchmurnem niebie. Co dzień inaczej.

Wschód opalowym blaskiem wstaje gdzieś z lądu, budząc sperlone rosą, pierzaste palmy.

A zachód tonie w morzu. Purpurą. Fioletem. Szmaragdem. Słońce toczy się jak dojrzała mandarynka, lub płonie jak żagiew. A czasem jest blade, zgasłe. Nie tonie. Zda się rozpływać w morzu i mgle.

Palmy wtedy na tle nieba i blasku są jak wycinanki z czarnego papieru.

Przychodzi noc. Nagle, bez mroków i cieni. Czasem jest ciemna, jak otchłań. Tylko szum morza i trzask spadających liści wskazuje kierunek, dzieli morze i las.

A czasem księżyc rozsrebrza mroki. Wtedy morze jest jak szmelcowana zbroja. Księżyc i gwiazdy, nawet te najmniejsze, odbijają się w migotliwym lustrze, rzucając na fale swoje drogi i dróżki.

Liście palmowe są jak z polerowanej blachy. Cykady dzwonią chórem. Odpowiada im śpiew jaszczurek. Czasem cyknie przeciągle leśny szczur. Albo ptak krzyknie ludzkim głosem.

Szelesty, szelesty. Tajemnicze, nieustanne...

Ciche życie nocy wre. Morze wciąż szumi. Płoną naftowe lampy we wnętrzach bungalow i namiotów. Ludzie żyją długo w noc. Bo noc jest chłodna, wilgotna.



Powrót z połowu.



Otwieranie kokosa.

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

Powieść

Każdy nowoprzybywający prenumerator otrzyma bezpłatnie początek powieści G. Olechowskiego „Zmartwienia dyplomatów", której druk rozpoczęliśmy 26 września r. b.

Zim nie byłby sobą, żeby nie zrobił „zastrzyku" pani Nörgaard. Nie wymienia żadnych nazwisk ani dat, tem mniej używa terminów naukowych, ale *à propos* złotych talerzy powiada, że istotnie złoto jest piękne w talerzach, ale żeby ono miało regulować ilość pracy w społeczeństwie — to głupie i śmieszne. Pani Nörgaard jest córką admirała, to też doskonale rozumie, gdy jej Zim powiada, że państwo jest okrętem na oceanie historji. Ma ten okręt załogę — naród, ma sternika — rząd, ma kapitana — głowę państwa, ale któż jest w państwie armatorem, który jedynie może kierować jego losami! Niema go. I dlatego państwa nie idą ku świadomej celowości.

Pani Nörgaard jest muzykalna, o czem mówi Zimowi, a on chwyta tę okazję, by jej wytłumaczyć, że jak można sharmonizować najsprzeczniejsze dysonanse w tonach, tak w ludzkości można sharmonizować klasy, zawody, prądy najbardziej rozbieżne, jeżeli się nie pozwoli, by każdy grał własną melodję, choćby najgenjalniej, lecz wyznaczy mu się jego, właściwą mu, partyturę. Pani Nörgaard powiada, iż chciałaby, by Król to słyszał.

— Ja przyjmuję w przyszły czwartek. Niech pan przyjdzie. Będzie u mnie pierwsza Dama Dworu. Usposobię ją dobrze dla pana. Król przychodzi do niej czasem na herbatkę i tam spotyka się z naszem towarzystwem i z dyplomatami. Urządzimy tak, niby wypadkiem, że tylko pan będzie, by nikt nie przeszkadzał. Naprowadzę rozmowę na ten temat. Chce pan?

— Ależ będę bardzo szczęśliwy, madame, tylko że musiałoby się to stać w dniach najbliższych. Pani rozumie, dziś jestem szefem misji, za tydzień, gdy mój minister wróci — nie będę mógł być gościem pierwszej Damy Dworu.

— Jakoś to urządzimy. A jeżeli się to odłoży, to poczekamy, aż pan zostanie ministrem.

Wstał Król i Królowa, wstali wszyscy i znów korowód przeszedł do sąsiedniego salonu, gdzie stojąc pito czarną kawę i likiery. Królestwo rozmawiali jeszcze przez chwilę z najstarszymi 'angą, poczem ukłon — i para monarsza oddaliła się.

Wszystkim pilno było do odjazdu, bo protokół nie pozwala na palenie w obecności koronowanych.

W małym salonie, tuż przy wyjściu, stał stolik z otwartemi pudłami hawańskich i duńskich cygar oraz angielskich papierosów. Z ulgą wychodzili palacze, trzymając w ustach cygara, panie niecierpliwie schodziły ze schodów, pragnąc wyrzucić z siebie coprędzej tysiąc uwag, jakie im się nagromadziły przez dwie przeszło godziny.

Odjazd był spóźniony o pół godziny, i szumny.

*

Po królewskim obiedzie Konspirin nie pojechał do poselstwa, tylko do Drachmans Kro, sympatycznej i stylowej nocnej kawiarni, gdzie niegdyś piosenkarz ludowy Drachman popularyzował swoją twórczość, a gdzie obecnie zaciszna karczma jest doskonałym pretekstem do pijaństwa.

Stamtąd zatelefonował do poselstwa i kazał się połączyć z pokojem Niny.

— Kto przy aparacie?

— Awram Wolfowicz Konspirin.

— Co każecie, towarzyszu pośle, czy przyszedł telegram do odszyfrowania?

— Może i tak... W pewnym sensie, w przenośni...

Nina wstrzymała oddech, zdumiona. Głos posła świadczył o pysznym nastroju, wesołym, żartobliwym, rozmarzonym.

— Czy towarzysz poseł jest w swoim gabinecie?

— A właśnie. Może i w gabinecie, ale nie w swoim.

Nina była przerażona. Pijany czy udaje. Godzina dwudziesta druga, minut czterdzieści... Co robić?... Czy to znów nie jakaś pułapka...

— A jakie polecenie macie towarzyszu pośle?

— Nie polecenie, a prośbę...

— Słucham...

— Siądźcie wy, Nina Aleksandrowna, w tutejszego „lichacza", czy inaczej mówiąc — w tak-

sówkę i przyjeżdżajcie zaraz do mnie. Ja jestem w Drachmans Kro. Czekam. Porozmawiamy serdecznie.

Nina była zupełnie oszołomiona. Chciała mu wytłumaczyć, że jest rozebrana, że nie ma usposobienia do zabawy... Ale Konspirin przerwał kontakt.

Nie, trzeba jednak połączyć się z *Drachmans Kro*.

— Proszę wezwać do telefonu posła Sowieckiego, który jest w lokalu.

Konspirin nie dał sobie wytłumaczyć. Mówił przytem tak sympatycznie, tak uprzejmie, jak nigdy. Bardzo prosił. Nie można było odmówić.

— Więc dobrze. Ale muszę się ubrać. Nie będę wcześniej niż za trzy kwadranse.

— Dobrze, Nina Aleksandrowna. Czekam. Zaraz się połączę z naszym odźwiernym i wydam mu rozkaz, żeby was wypuścił, pomimo późnej godziny.

Nina o mało nie krzyknęła.

Światło raptowne olśniło jej myśl.

— Teraz, teraz, albo nigdy już... Co za zrządzenie losu! Przebrała się w jednej chwili, ale nie w skunię wieczorową, tylko właśnie w codzienną. Wyjęła z szuflady biurka wszystkie swoje papiery osobiste, zabrała biżuterję i pieniądze, wypchała tem wszystkiem największą ze swoich torebek, rzuciła jeszcze jedno spojrzenie na pokój, doznając uczucia, że kończy się jakiś rozdział jej historji i z zupełnym pozornie spokojem zjechała windą na dół.

Odźwierny już czekał.

— Awram Wolfowicz telefonawł, że zaraz macie jechać do niego, Nina Aleksandrowna. Tylko nie powiedział gdzie jest. A wam wiadomo?

— Rozumie się, że wiadomo...

Odźwierny wpił wzrok w Ninę, jakby czekając, by mu powiedziała, gdzie jest Konspirin, ale Nina bez słowa szła ku wyjściu.

— Taksówka już stoi...

Otwierał powoli drzwi.

— Dziękuję.

Stał jeszcze we drzwiach, bo chciał usłyszeć dokąd Nina każe jechać. Ale Nina zatrzasnęła drzwi samochodu i szofer ruszył bez dyspozycji, przed siebie.

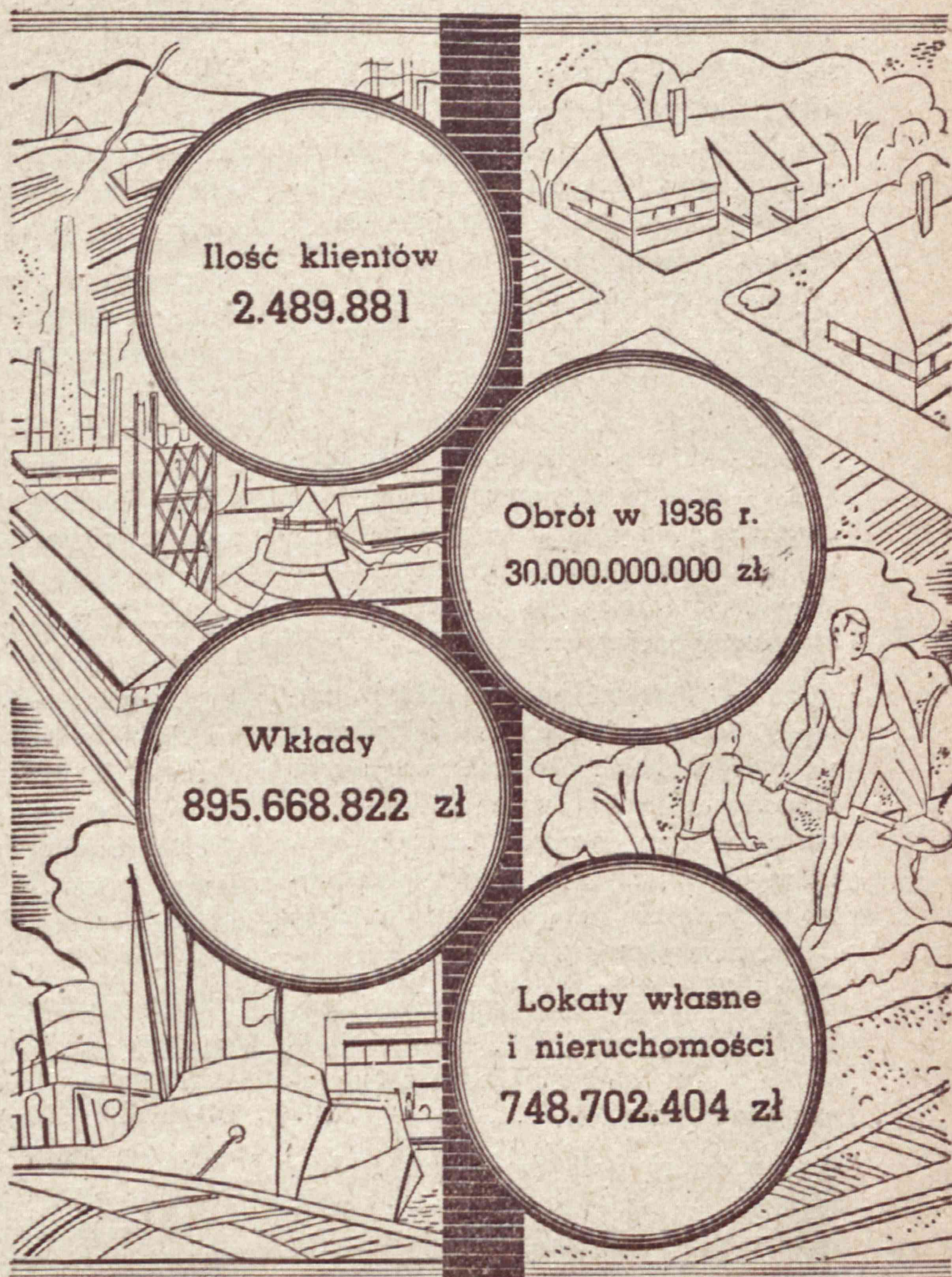
Nina zorjentowała się, że trzeba jednak jechać do *Drachmans Kro*, bo odźwierny napewno zanotował numer taksówki i może potem łatwo sprawdzić. Trzeba zacierać wszelki ślad za sobą.

Drachmans Kro ma dwa lokale, górny — elegancki, i dolny — dla plebsu. Konspirin jest oczywiście na górze. A ona zejdzie z taksówki do lokalu dolnego, pokręci się tam i wycofa. Potem siądzie w inną taksówkę i pojedzie w stronę mieszkania Willy. Wysiądzie przed pierwszym lepszym domem i pójdzie dalej piechotą.

A jeżeli Willy'ego nie będzie w domu? Trudno. Poczeka na niego. Wprawdzie służący jej nie zna, ale...

Ale Willy był.

I uważał, że wszystko jest jaknajlepiej. Papużka się obudziła i narobiła żałosnego wrzasku. Służący dowiedział się, że panna Anna Van Cornelius jest przyrodnią siostrą jego pana, że w mieszkaniu ona pozostanie, a on i jego pan wyniosą się



dziś jeszcze do hotelu, od jutra zaś — pewno będą szukali mieszkania.

Nina była zmęczona nerwowo całem przejściem z jednego życia w drugie i ziewała. Willy odchodził obiecując, że od rana przyszle jej służącą.

— Jakie to dziwne moja Nino, — powiada Willy, — że życie robi czasem wrażenie algebraicznego równania złożonego z wiadomych i niewiadomych. Wartości się przesuwają, przestawiają, a równanie pozostaje bez zmiany.

Willy, jadąc do hotelu d'Angleterre, wstąpił na telegraf i nadał depszę do ojca:

„Przyślij niezwłocznie ekspresem akt notarjalny deklaracji ojcostwa. Oczekuję pojutrze rano koniecznie by móc wystawić paszport Ninie".

Z telegrafu jednak nie pojechał do hotelu. Wysłał tam tylko służącego z neseserem, kazał wziąć pokoje dla siebie i dla niego i iść spać, sam zaś pojechał do Zima i opowiedział mu całą historję. Zim nie mógł wyjść z podziwu nad lekkomyślnością Willy'ego.

D. c. n.

KIEDY MARLENA SIĘ STROI...

Przed kilku laty przywieziono do Hollywood z Europy czupiradło, które ubrane było mniej więcej tak: miało na sobie różową bluzkę, zieloną spódnicę, niebieskie pończochy, żółte półbuciki, na głowie niemodny, śmieszny kapelusz, — a na szyi... boa z kogucich piór. To „coś" sprezentowano zdumionym i kpiącym „gwiazdom" jako — przyszłą „star". Śmiechu było coniemiara. „Ni to z pierza, ni z mięsa" orzekły zupełnie spokojnie rywalki — „a w dodatku brzydka".

Dziś — Marlena (bo to ona była właśnie) — jest po swojemu piękna — co zawdzięcza wystudjowanej i umiejętnej charakteryzacji, oczywiście nie swojej. Od tego są tam znakomici i doświadczeni fachowcy.

Dziś — Marlena jest też jedną z najlepiej ubranych kobiet na świecie. I najlepiej umiejących nosić swe stroje. Zawdzięcza to znowu nie sobie — ale posłuszeństwu wobec zawodowców, którzy ją nauczyli, co z jej typem harmonizuje, a co nie, i jak się w każdym stroju należy poruszać.

Niezmiernie ciekawe szczegóły o tem, jak Marlena sprawiała sobie ostatnio stroje w Paryżu, podał jeden z francuskich miesięczników.

Gwiazda zjechała do Paryża „całym dworem" — w towarzystwie swej piętnastoletniej córki, ukochanej Heidede, swego męża, swej sekretarki, dwu przyjaciółek, manicurzystki i szofera. Z całym tym dworem zjawia się zawsze w wielkim domu mody, gdzie zamierza wybrać toalety. Jest zawsze niezmiernie spokojna. Nigdy się nie unosi, nigdy się nie zachwyca. Gdy manekiny defilują dla niej — tylko i wyłącznie dla niej — na zapytanie, czy jej się dany model podoba, albo milcząc kręci głową, że nie, albo lakonicznie po chwili namysłu: „Tak". Wtedy model odkłada się na bok, i następuje potem szereg przymierzeń, aby mogła ujrzeć kreację na własnej figurze.

Każda suknia leży na niej „jak ulana" — bo figurę ma cudowną. Mimo swej kościstej twarzy, wcale nie jest chuda — jest tylko cudownie szczupła i niezwykle proporcjonalna. Lubi swoją figurę, i nie chce w sukni zatracać ani jednego szczegółu ze swych wdzięków. Wie doskonale, jaki styl stroju jej odpowiada, wie, co lubi. Lubi rzeczy bardzo strojne — skromiutki genre sportowy jej nie ubiera. U Hermesa np. zamówiła sobie niezmiernie oryginalny płaszcz wieczorowy... z błękitnej skóry, cały haftowany srebrem. Poemat. Wogóle Marlena kocha się w haftach, piórach, klejnotach, złocie i koronkach.

Ma nogi najpiękniejsze na świecie, smukłe i długie. Wydłuża je jeszcze sztucznie wysokiemi obcasami — nigdy nie nosi płaskich. I lubi suknie z wysokim stanem, które jeszcze bardziej podkreślają jej piękne proporcje.

Co nosi jako dessous? *Nic!* Pod suknią ma zaledwie cieniutki jedwabny combinaison (koszulka z majtkami razem) — i więcej nic, proszę pań... Nie nosi nawet pasa do podwiązek! Może sobie na to pozwolić. Pończochy ma staroświeckim sposobem zwinięte w wałczek na poprzecznej podwiązce ale te podwiązki ozdobione są brylantami.

Ręce ma piękne, wyraziste, ale wcale nie małe. Numer rękawiczek — 7. Lubi ładne rękawiczki, dobiera do każdej toalety inne, a przy zamówieniach, aby nie było omyłek, przypina własnoręcznie próbkę materjału sukni przy każdym wybranym modelu. No pewno — kiedy się zamawia sto par rękawiczek odrazu — omyłki byłyby przecież możliwe...

Przy zakupach i zamówieniach jest milcząca — jak sfinks. Jedna ze sprzedających w wielkim domu mody określiła ją tak: *„U nas odegrała film... niemy"*. Ale kiedy przemówi — wzrusza modystki swym głębokim, melancholijnym głosem, choćby do nich przemawiała tylko przez telefon, i nawet... o drugiej w nocy! Bo to potrafi: przypomniawszy sobie, że czegoś zapomniała, telefonuje o najdziwniejszych porach doby — z naturalnością królowej, dla której każdy o każdej porze gotów jest do usług.

Tembardziej gotów, że umie sobie zdobywać ludzi. Najmniejsza sklepowa, podręczna czy przymierzaczka — są nią oczarowane. I każda z nich dostała naturalnie na pamiątkę fotografję Marleny z własnoręczną dedykacją. I jak tu nie szaleć za gwiazdą tak łaskawą...

Choć jest do najwyższego stopnia chłodna i każdy jej ruch jest tysiąckrotnie wystudjowany pod kierunkiem najlepszych reżyserów filmowych — wydaje się „na codzień" prawie naturalna w swej uprzejmości. A kiedy jest z sukni bardzo, ale to bardzo zadowolona, potrafi — jak to było w domu mody Schiaparelli — serdecznie ucałować dyrektrysę, panią Marie - Louise. Ten pocałunek przejdzie do historji! Wszystkie pracownice magazynu o niczem innem nie mówią. Powstaje nowa forma uwielbienia, dochodząca do fetyszyzmu. Raz, po zmierzeniu toalety, znaleziono na sukni *jeden włos Marleny* — jedwabisty, połyskliwy, blond włos. „Podręczne" pokrajały go na mnóstwo drobnych kawałeczków — i losowały między sobą, na którą padnie to wielkie szczęście: posiadać ułamek włosa gwiazdy...

Wiek XX ma też swe bóstwa... No i swoje relikwje...

Marlena robi zakupy, nie licząc się z wydatkami. Nie posiada nigdy grosza przy sobie — tak właśnie, jak głowy koronowane. Rachunki za jej fantazje i zachcianki płaci kto inny — mianowicie dość niepozorny człowieczek, który jest jej mężem, a zarazem sekretarzem, administratorem, managerem, etc. Marlena o cenę nie pyta. Ale mąż — owszem. Tylko nie przy niej. Gdy gwiazda już przeszła do innych salonów, mąż gwiazdy każe sobie pisać rachunek — i o każdą pozycję gotów stoczyć homeryckie boje. Tak, tak, — czasem wygodnie jest mieć męża — choćby tylko poto...

Manekiny w magazynach — te żywe, które prezentują „kreacje" — miały przy niej masę roboty: tyle modeli do zaprezentowania! Ale robiły to z entuzjazmem. Przedewszystkiem oceniły jej umiejętność noszenia sukni. Wiedziały, że co wybierze — to się na niej „wyda" — każda suknia na jej świetnej sylwetce zyskuje. A kiedy raz, włożywszy jakieś wspaniałe futro, sama zaczęła dla siebie — i dla nich — spacerować po wielkim salonie z gestami i przegięciami zawodowej modelki — zachwyt ich nie miał granic. Tak pięknie się ruszać, tak model sprezentować — żadna z nich przecież nie umie...

To była nietylko ich najbardziej urocza klijentka i najsławniejsza. To była także klijentka — najdoskonalej uprzejma.

Tu mały nawias. Może naprawdę nigdzie tak się nie poznaje kobiety, jak u krawcowej i u modystki. Tam właśnie wychodzi na jaw cała „podszewka" charakteru, usposobienia, no i — wychowania. Pamiętam przed kilku laty karczemną scenę, którą w mojej obecności urządziła jedna z artystek warszawskich (dziś już nieżyjąca) w magazynie, gdzie naprawdę „na głowie stawano", aby klijentkom dogodzić. Suknia leżała doskonale, ale że była z pajęczo cienkiego chiffonu jedwabnego i miała w dole obwód chyba z 10 metrów — więc dziecko zrozumie, że o równym „cyrklu" nie mogło być mowy. To nie jest kostjum sportowy — i małe nierówności przy ciągłem falowaniu tkaniny pozostawały zresztą zupełnie niewidoczne. Dyrektrysa osobiście klęczała na ziemi, doprowadzając ów „cyrkiel" do perfekcji. A rozwścieczona jędza na której suknię mierzono rzucała coraz ordynarniejsze wyzwiska, aż się wreszcie rozkrzyczała jak przekupka. Przez otwarte drzwi do sąsiedniego salonu, gdzie czekały inne klijentki, dochodziło każde słowo. Patrzałyśmy po sobie zażenowane i oburzone. Tak — styl kobiety, jej indywidualność, ujawnia się u krawcowej bez reszty...

Marleny styl w Paryżu był bez zarzutu. Niema wątpliwości, że nietylko dzięki jej wrodzonemu taktowi. Zapewne jakiś tam punkt jej kontraktu z wytwórnią filmową precyzuje najdokładniej, jak się gwiazda ma zachowywać „en public", w restauracji, w teatrze, czy u krawcowj. Tam niema miejsca na improwizacje. Marlena wie, jak ma usiąść, żeby się linja jej nóg wydała najpochlebniej. I Marlena ma też podyktowane, jak się ma zachowywać, żeby legenda o jej osobie nie straciła nic ze swego blasku.

Swoją rolę Marlena — umie. I gra ją doskonale.

Lustucru.

ECHA BALU MODY



Malina Michalska, świetna tancerka polska, została wybrana Pierwszą Damą Dworu na tegorocznym Balu Mody.

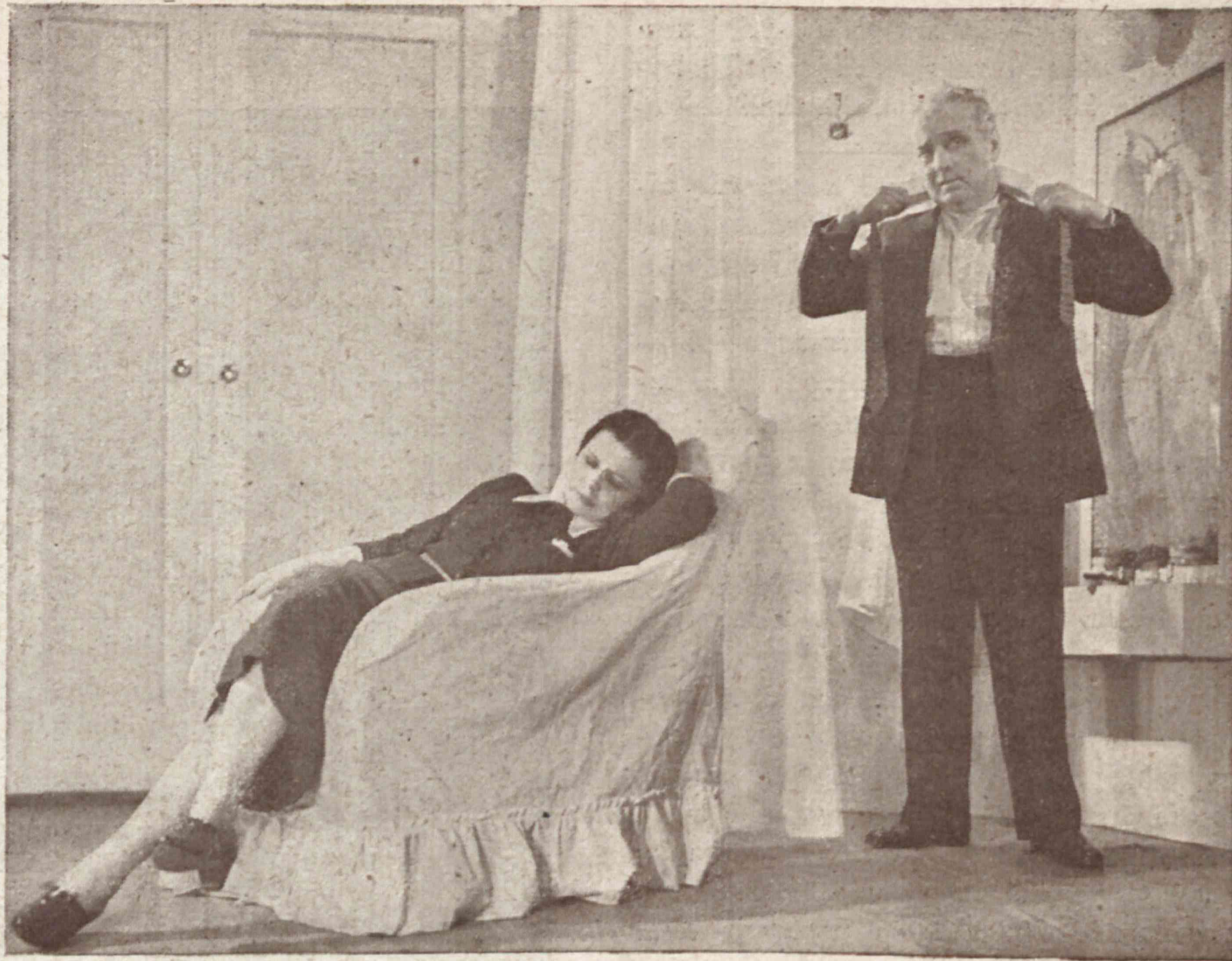
Powiat Kościan — na F. O. N.

Jak się dowiadujemy, powiat Kościan, województwo poznańskie, stojąc na stanowisku, że jedynie powszechny wysiłek w chwili dzisiejszej może sprawę zwiększenia uzbrojenia Armii rozwiązać dla kraju pomyślnie, postanowił przeprowadzić zbiórkę wśród swoich obywateli.

Akcja ta przyniosła w krótkim czasie 10.000 złotych, które powiat Kościan przeznaczył na Fundusz Obrony Narodowej, przelewając ją na *konto czekowe Nr. 6 P.K.O.*, Warszawa.

ŚWIAT TEATRU

TEATR KAMERALNY: „Tajemnica lekarska", sztuka w 3-ch aktach Władysława Fodora. Przekład Władysława Krzemińskiego. Reżyserja Irena Grywińska.



Świetna scena II-ego aktu: Grywińska i Adwentowicz.

Równouprawnienie kobiet w pracy zawodowej, ich wyjście z zacisza domowego ogniska na szeroką arenę życia społecznego zrodziły nowe problemy, nowe oblicze życia rodzinnego. Dawna, tradycyjna niemal, koncepcja trójkąta małżeńskiego straciła na aktualności i na ostrości. Przekreśliło ją życie — wykreślili ją ze swej twórczości dramaturdzy.

Ciekawą, nową koncepcję trójosobową podaje nam Wł. Fodor na deskach teatru Kameralnego. Pracująca poza domem żona-lekarka, zaniedbuje męża, który wskutek tego zwraca swe uczucia w stronę najbliższej mu kobiety — w kierunku młodej szwagierki, spędzającej z nim długie godziny.

Interesujący ten konflikt rozgrywa się żywo, daje autorowi okazję do podzielenia się z widzem wieloma ciekawemi spostrzeżeniami psychologicznemi, do urozmaicenia akcji świetnie zaobserwowanemi scenkami z życia, ale nie wystarcza do całkowitego wypowiedzenia się, do zupełnego rozwiązania intrygi. I tu ciekawa sztuka komplikuje się. Autor sięga do modnej dziś dziedziny lekarskiej.

Zagadnienia etyki lekarskiej, tajemnicy zawodowej, fachowe dyskusje i konsylja, sprawa tak modna medycznie i społecznie jak kwestja przerwania ciąży, zazębiają się z prywatnem życiem. Głęboki konflikt duchowy lekarza, żony i siostry, odtworzony przez p. Grywińską po mistrzowsku, cierpi poważnie wskutek przeładowania akcji medycznemi szczegółami. „Bohaterka tytułowa" — tajemnica lekarska przypięta do akcji w sposób sztuczny nie wytrzymuje próby psychologicznej.

Przez wspięcie się na koturny bohaterstwa usiłuje Fodor rozwiązać zagmatwaną intrygę, wyplątać się ze spiętrzonych sztucznie trudności. Mimo świetnej reżyserji, mimo znakomitej, przekonywującej gry p. Grywińskiej rozwiązanie to pozostawia posmak pewnej nieszczerości.

Znakomita, głęboko pomyślana i niezawodnie podana gra wykonawców z p. Grywińską i Adwentowiczem na czele przysparzają sztuce tych walorów, których utwór pisany nie posiada. Intuicja aktorska umiejętnie przygłusza i tuszuje słabizny i nieszczerości, mocno uwydatniając momenty głębsze i ciekawe. Już samo mistrzowskie odtworzenie przez Adwentowicza wyznania - monologu w drugiej odsłonie warte jest usłyszenia i zobaczenia.

Benda, jako opuszczony mąż miał przy starannej grze niezupełnie potrzebne momenty szarży, Skubniewska po słabszej odsłonie pierwszej rozegrała się i znalazła wskazaną formę interpretacji. Kwaskowski epizodyczną rolę pacjenta interpretował wiernie i właściwie. Dekoracje prof. Jarockiego pomysłowe przez swą prostotę i celowość.

Zastępca.



Skupniewska i Grywniska.

BAL MODY



Lucyna Szczepańska — II-ga v.-królowa mody, toaleta „Lucyna".



Irena Stalińska — I-sza v.-królowa mody, toaleta „Goussin Cattley".

Wyjątkowo wspaniale wypadł tegoroczny jubileuszowy Bal Mody. Atrakcyjność tej dorocznej wielkiej rewji mody i urody zwiększają wybory królowej Mody oraz jej świty.

Wybór padł na pełną gracji i wdzięku p. Ninę Andryczównę, artystkę Teatru Małego w przepięknej toalecie, wykonanej w słynnym domu modelowym „Goussin Cattley"

Niebywały sukces domu mód „Goussin Cattley" wart jest specjalnego zaznaczenia, gdyż na przestrzeni ostatnich lat sześciu, tytuł Królowej Mody pięciokrotnie otrzymywały Panie w toalecie kreacji Goussin Cattley.

Pierwszą wice-królową mody została p. Irena Stalińska w efektownej toalecie z białej gazy, ozdobionej u dołu różnokolorowymi piórami, również firmy „Gousin Cattley. Uczesania Królowej Mody oraz wielu innych odznaczonych pań zostały wykonane w zakładzie fryzjersko - kosmetycznym „Cleo-Cattley" (Mazowiecka 12).

Drugą wicekrólową została p. Lucyna Szczepańska - słowik Warszawy — urocza „Gaby" z Teatru 8,15 w prześlicznej toalecie z białego satin i kokieteryjnym przybraniu głowy z kwiatów, wykonanych w pracowni domu mód „Lucyna" (Boduena 2).

Wszechstronnie utalentowana p. Loda Halama, po szeregu zagranicznych sukcesów otrzymała pierwszą nagrodę poza konkursem za najpiękniejszą toaletę ze srebrnej lamy wykonanej w Studio Mody — Tadeusz Herse.

Tytuł króla mody uzyskał p. Jerzy Olgierd, artysta teatru 8,15 we fraku wykonanym specjalnie na Bal Mody w znanej z wytwornego kroju pracowni krawieckiej Adolfa Zaremby (Wspólna 36). Pozatem odznaczeni zostali pp. Michał Znicz i Mieczysław Cybulski we frakach również z firmy A. Zaremba.

Cały szereg przepięknych modeli, wyróżnionych na Balu Mody z najmodniejszych w tym karnawale materjałów, jak lamy, velour transparent, satin i innych wykonanych zostało z tkanin jednego z najbogaciej zaopatrzonych magazynów modnych tkanin I. Cwejko (Bielańska 23).

Kierownictwo balu spoczywało w doświadczonych rękach p. Br. Iwanowskiego.



Jerzy Olgierd — król mody, frak Adolf Zaremba.



Loda Halama — I-sza nagroda poza konkursem, toaleta „Studio Mody"

CZY PANI WIE, ŻE...

...Pomówimy dziś o kuracji uszczuplającej. Wcale nie zamierzam wmawiać moim czytelniczkom, że ją wypróbowałam na sobie. Nie było gwałtownej konieczności. I wcale nie namawiam specjalnie na jej stosowanie — bo zasadniczo jestem wrogiem sztucznego, a zwłaszcza gwałtownego chudnięcia. Uważam, że w rezultacie najczęściej kobieta poprawia sobie ogólną „linję" — ale starzeje się na *twarzy,* — no i wpada w hipochondrję, neurastencję i histerję — poprostu dlatego, że jest wygłodzona.

Jednak dla pań odważnych podaję cały program kuracji, według przepisu stosowanego z powodzeniem przez jednego z lekarzy w Hollywood, którego pacjentkami i ofiarami są słynne z pięknej linji gwiazdy filmowe.

Cała kuracja polega na ścisłej a dokładnie obmyślonej djecie. Pierwszy „posiłek" łyka się zaraz po obudzeniu. Następny w pół godziny potem, po kąpieli. W ciągu przedpołudnia jeszcze jeden posiłek. Potem obiad. Między obiadem a kolacją lekki podwieczorek, wreszcie kolacja.

Powie pani: „Przecież ja nigdy tak dużo razy dziennie nie jadam. Od tego bym utyła, a nie schudła!".

Chwileczkę, proszę pani. Przejrzyjmy razem dokładnie, na czem owe „posiłki" polegają.

Poniedziałek.

Zaraz po wstaniu, przed kąpielą: szklanka soku pomarańczowego i soku ze śliwek suszonych, pół na pół.

W pół godziny potem, po kąpieli: szklanka herbaty z kawałkiem cukru, albo z odrobiną śmietanki.

Jeżeli przed obiadem poczuje pani apetyt (a ktoby nie poczuł...) — wolno jest wypić szklankę soku z pomidorów.

Obiad. Sałatka jarzynowa. Cieniutki plasterek bułki. Szklanka herbaty...

W razie głodu popołudniu — cocktail „smagnięcie biczem", (patrz receptę poniżej).

Kolacja. Sałatka z pomarańczy i ananasa, jako wstęp. Dwa małe kotleciki z jagnięcia, do tego trochę zielonego groszku. Główka zielonej sałaty. Jeden pieczony kartofel. Pół filiżanki czarnej kawy.

Wtorek.

Od rana do obiadu — to samo co dna poprzedniego.

Obiad. Kawałek sera z sałatką z pomidorów. Jeden biszkopcik. Na żądanie szklanka herbaty.

Popołudniu, w razie głodu — cocktail „smagnięcie biczem".

Kolacja. Jako wstęp: jedno jabłko. Mała porcyjka ryby pieczonej. Pomidory pieczone, łyżka kukurydzy. Mała porcja selerów z marchewką. Kompot. Pół filiżaneczki czarnej kawy.

Środa.

Od rana do obiadu — to, co zwykle.

Obiad. Cztery kartofle pieczone, z trochą masła. Szklanka serwatki.

Popołudniu, w razie głodu — cocktail „smagnięcie biczem".

Kolacja. Szklanka wyciśniętego soku z marchwi surowej, surowych buraków i selerów, w równych częściach. Befsztyk z zieloną fasolką, sałatka z kapusty i marchwi. Trzy śliwki suszone namoczone, do tego łyżka kremu. Pół filiżanki czarnej kawy,

Czwartek.

Rano — to co zwykle.

Obiad: sałatka z ryby, jeden sucharek, szklanka herbaty.

Popołudniu, w razie głodu — zwykły cocktail „smagnięcie biczem".

Kolacja. Jako wstęp — dowolny owoc. Wątróbka cielęca z cebulką, dwa kartofle. Sałatka z jabłek z miodem. Pół filiżanki czarnej kawy.

Piątek.

Rano — jak zwykle.

Obiad: sałatka z surowych owoców, z sosem śmietankowym, do tego jeden sucharek. Na życzenie — szklanka herbaty.

Popołudniu — w razie głodu — cocktail „smagnięcie biczem".

Kolacja. Sałatka z jarzyn. Ryba pieczona, do tego pomidory, kalafior (gotowany pięć minut). Surowe owoce, pół filiżaneczki czarnej kawy.

Sobota.

Rano — nieodmiennie to samo.

Obiad. Pomidory „à la mode". (To znaczy pomidory gotowane króciutko na grzance, pokryte jajkiem sadzonem). Szklanka herbaty.

Popołudniu — w razie ochoty cocktail „smagnięcie biczem".

Kolacja. Sałatka z ogórków lub innych jarzyn. Mały befsztyczek z cebulką, mała porcja kukurydzy. Ciastko z owocami, pół filiżaneczki czarnej kawy.

Niedziela.

Rano — szklanka soku pomarańczowego, przed kąpielą.

W pół godziny potem, po kąpieli — szklanka herbaty z cukrem albo śmietanką.

Obiad (zwykle wcześniejszy niż w ciągu tygodnia). Jako wstęp jedno jabłko lub inny owoc. Kurczę z sosem owocowym. (Sos przyrządza się tak: pokrajać drobno dwa jabłka, pół kilo marchwi, ćwierć kilo selerów, i jedną dużą cebulę. Rozgnieść dziesięć deka winogron, dwa zielone pieprze tureckie i soli, poddusić wszystko razem. Dodać wreszcie dwa jajka ubite na pianę. Sos podobno bardzo smaczny — może na gust amerykański?. Potem sałatka z grejprutów, kompot ze śliwek. Filiżaneczka czarnej kawy.

Lekka kolacja. Sałatka z ryb, jedna grzanka, herbata z cytryną.

Jeżeli mnie pani zapyta, czy można tak się odżywiać i nie być głodną — to szczerze odpowiem: wątpię. Uderza mnie osobiście dziwny rozkład jedzenia — mianowicie jedynie naprawdę podstawowe — przypada stale wieczorem. Hygjeniści europejscy radzą właśnie przed snem jeść jak najmniej... Następnie: do obiadu — codziennie tylko owe trzy szklanki jakichś płynów, w sporych odstępach czasu. Wyobrażam sobie ten wilczy apetyt!

Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Ś. P. KAMILLA CHOŁONIEWSKA

Zmarła dnia 19 grudnia 1936 r. w Warszawie Kamilla z Głuchowskich Antoniowa Chołoniewska była wybitną przedstawicielką tego pokolenia działaczek społecznych, które łączyły harmonijnie najszlachetniejsze pierwiastki patrjotyzmu epoki przedwojennej z głębokiem zrozumieniem nowych zadań jakie wyłoniło życie odrodzonej Ojczyzny.

Od najwcześniejszej młodości, pod wpływem opowiadań matki, siostrzenicy generała Ludwika Mierosławskiego i żywych wśród najbliższej rodziny wspomnień 1863 roku, oraz tradycji powstania listopadowego — rozwijał się w jej wrażliwej duszy gorący kult walk o niepodległość. Było to uczuciowe podłoże późniejszych zamiłowań naukowych ś. p. Kamilli Chołoniewskiej i jej pracy społecznej.

Urodzona w Warszawie i z byłą Kongresówką węzłami rodzinnemi silnie związana, wychowywała się i kształciła najpierw za granicą w Sacré Coeur, potem we Lwowie, gdzie studjowała na uniwersytecie historję i geografję. Była pierwszą kobietą, która uzyskała dyplom tej uczelni. Pracując pod kierunkiem profesorów: Finkla, Askenazego i Dembińskiego, specjalizowała się w nowożytnej historji Polski. Kończąc uniwersytet poślubiła wybijającego się wówczas na polu publicystyki Antoniego Chołoniewskiego, który z jej podniety i przy jej pomocy napisał piękną książkę o Tadeuszu Kościuszce, spopularyzowaną w kilku wydaniach przez „Macierz Szkolną".

Jako gorąca zwolenniczka idei wyższego wykształcenia kobiet, należała K. Chołoniewska do inicjatorek założenia pierwszego gimnazjum żeńskiego we Lwowie, w którem sama bezinteresownie uczyła.

W 1903 r. przenosi się z mężem do Krakowa i tutaj rozwija ożywioną działalność w kilku stowarzyszeniach kobiecych, zwłaszcza w Pomocy Naukowej dla kobiet im. Kraszewskiego, gdzie przez kilka lat zajmuje stanowisko przewodniczącej. Dom Chołoniewskich staje się wówczas ogniskiem, skupiającym wybitne jednostki ze sfer naukowo - literackich.

Po wybuchu wojny Kamilla Chołoniewska poświęca się pracy społeczno-charytatywnej. Szwalnia i pralnia dla Legjonistów, opieka nad ewakuowanymi i przymusowymi emigrantami, niestrudzona działalność w tak wielce zasłużonym Komitecie Biskupim — oto różnorodne dziedziny jej pracy społeczno-narodowej, w którą wkładała niespożytą energję, zawsze pełna entuzjazmu i wiary, że każde dzieło dobre udać się musi. Po wojnie przenosi się Antoni Chołoniewski wraz z rodziną najpierw do Gdańska, potem do Bydgoszczy, z zamiarem kontynuowania działalności publicystycznej na terenie odzyskanego i od wielu lat tak umiłowanego przezeń Pomorza. Tutaj zakłada K. Chołoniewska warsztaty kilimiarskie, stając się pionierką tej gałęzi przemysłu domowego na miejscowym gruncie.

Po śmierci męża przenosi się w 1925 r. z synami do Warszawy, powołana przez Ministerstwo W. R. i O. P. w ocenie jej działalności społecznej i pedagogicznej, na stanowisko wizytatorki żeńskich szkół zawodowych. Przez szereg lat współpracuje K. Chołoniewska gorliwie i owocnie przy rozbudowie tego działu szkolnictwa. Przeszedłszy z Ministerstwa do Kuratorjum warszawskigo, pełni nadal obowiązki wizytatorki szkół zawodowych, poczem w ostatnich dwóch latach prowadzi Państwową Szkołę Pracy Domowej, jako dyrektorka tej uczelni.

Poza pracą zawodową, ś. p. Chołoniewska do końca życia oddawała się działalności społecznej, jako przewodnicząca Koła Służby Obywatelskiej Kobiet, założycielka Poradni Zawodowej dla dziewcząt, członkini Rady Naczelnej Gospodarczego Wykształcenia Kobiet oraz Stowarzyszenia Kobiet z Wyższem Wykształceniem.

Kiedy liczne grono serdecznych przyjaciół, znajomych i młodzieży żegnało Ją nad grobem, jakże ciężko było pogodzić się z myślą, że ta, która była idealnem wcieleniem pogody, inicjatywy, entuzjazmu i niewyczerpanego optymizmu, która miała niezwykły dar jakby magnetycznego skupiania wokół siebie bliźnich, oraz krzepienia ich nadzieją i wiarą w życie — od życia tego odeszła.

M.



Grób rodzinny Chołoniewskich na cmentarzu Powązkowskim, w którym złożono dnia 22.12.-36 r. na wieczny spoczynek ś. p. Kamillę Chołoniewską.

Dokończenie ze strony 18-ej.

Obiad — to raczej iluzja. Zwłaszcza po takim przeposzczonym ranku.

Popołudniu — stale ta sama naiwna propozycja: cocktail „*jeżeli pani będzie głodna*". A któżby nie był? — pytam łagodnie.

Więc nareszcie dajmy przepis na ów słynny cocktail.

COCKTAIL „SMAGNIĘCIE BICZEM".

Ubić jedno żółtko i jedną łyżkę Sherry w szklance soku pomarańczowego.

„Tylko tyle?" — zapyta pani rozczarowana. No tak. Na odmianę sok może być z ananasa — ale to na tamtejszy użytek. Ktoby tam u nas w ten sposób marnował taki pyszny owoc?

Co rzekłszy — nie namawiam, i nie odradzam. Sama nie spróbuję. Ale podobno odważnym szczęście sprzyja — dla nich podałam te dość drakońskie przepisy, zapewniające jakoby smukłość efebiczną, z której słyną gwiazdy filmu amerykańskiego. Warto poznać ten reżym — choćby dla samej ciekawości. Że się biedactwa nie przejadają — to pewne...

Dama Pikowa.

RONALD WRIGHT.

PROSZĘ ZA MNĄ...

Nazywał się Hopkins. Był to mężczyzna w średnim wieku, starannie ubrany i nie zwracający na siebie niczem specjalnej uwagi. Stał przed szeroką bramą zamku Towerton Manor i wpatrywał się wyblakłemi niebieskiemi oczami w napis:

Tylko przez jeden tydzień dostępny dla publiczności.
Z łaskawego zezwolenia Lady Towerton.
Całkowity dochód przeznaczony na budowę szpitala.

Po dostatecznem przetrawieniu tego zawiadomienia przeszedł przez bramę i skierował się w stronę głównego budynku. W sieni zamkowej zastał gromadkę osób, czekających na oprowadzenie ich po zamku. Zachrypnięty przewodnik umieścił go na końcu kolumny.

— Proszę za mną — powiedział przewodnik.

Procesja ruszyła. Mr. Hopkins znalazł się między barczystym panem o czerwonej twarzy, a pilnym młodzieńcem, który nieustannie robił notatki.

— Ta sala — wykrzykiwał swój tekst cicerone, zatrzymując jednocześnie orszak — jest w stylu Tudorów, meble również. Proszę zwrócić uwagę na dębową powałę i starożytny kominek. Proszę za mną.

— A teraz — zapowiedział przewodnik — pokażę państwu coś naprawdę interesującego. Starożytną biżuterję. Zaprowadził zwiedzających do izby, w której stał mały żelazny safe. Przez chwilę obracał zamkiem. Pracowity młody człowiek, stojąc za nim robił notatki.

— Proszę patrzeć — zawołał dumnie przewodnik, wyciągając cały garnitur szlachetnych kamieni i pokazując go zwiedzającym — starożytna biżuterja. Proszę zwrócić uwagę na artystyczną robotę. Kamienie są warte tysiące funtów sterlingów.

Po schowaniu kosztowności w safe'ie, zaprowadził towarzystwo korytarzem do galerji przodków. Mr. Hopkins z szacunkiem spoglądał na stare i sczerniałe podobizny dawno zgasłych Towertonów. W tym momencie barczysty, czerwony jegomość trącił go lekko w bok.

— Gdzie on się zapodział — szepnął — ten chłopak z notesem?

Mr. Hopkins rozejrzał się. Pilny młodzieniec zniknął. Mr. Hopkins roześmiał się.

— Przypuszczam, że pozostał w tyle, aby pomarzyć. Jakaś poetyczna dusza Skoczę po niego.

— Zaczekaj pan — barczysty jegomość schwycił Mr. Hopkinsa za rękaw. Jestem Barfield ze Scotland Yard'u.

— Skąd?... zawołał Mr. Hopkins.

— Ze Scotland Yard'u! Obserwuje tego ptaszka z notesem. Czyś pan nie zauważył, jak on notował kombinację otwierającą zamek bezpieczeństwa przy safe'ie.

— Nie. Sądziłem, że —

— To cwany łobuz — przerwał Mr. Barfield — on już nieraz maczał swoje palce w takich sprawkach. Naturalnie jest teraz przy kosztownościach. Zaraz go będziemy mieli.

Mr. Barfield opuścił towarzystwo, które poszło dalej. Mr. Hopkins towarzyszył mu. Przewodnik ruszył dalej, nie zauważywszy ich nieobecności. — Proszę za mną! — usłyszeli jego głos.

Mr. Barfield i Mr. Hopkins poszli tymczasem ostrożnie korytarzem wstecz. Mr. Barfield zatrzymał się przed izbą, w której była biżuteja, wyjął rewolwer i cicho otworzył drzwi. Pilny młodzieniec klęczał przed safe'm, który widocznie udało mu się właśnie otworzyć. Kiedy drzwi uchyliły się, odwrócił się i zdrętwiał przed groźną lufą rewolweru.

— W samą porę! — mruknął Mr. Barfield. Teraz cię mamy ptaszku!

Młodzieniec powstał powoli i podniósł ręce do góry, przyczem po twarzy jego przebiegł lekki grymas.

— Wyjmij pan kosztowności z safe'u — rozkazał Mr. Barfield Hopkinsowi. — Będę ich pilnował, dopóki nie zamkniemy tego łotra w bezpiecznem miejscu. Daj pan....

Przerwał z jękiem, ponieważ młody człowiek, wykorzystując moment nieuwagi, rzucił się na niego. Rozpoczęła się krótka i zacięta walka; słychać było tylko przekleństwa, wyrzucane zziajanym głosem, a po chwili młodzieniec uwolnił się. Rewolwer znajdował się w jego dłoni. Skierował go groźnie w stronę Mr. Barfield.

— Scotland Yard, co? — zawołał bez tchu — myślałeś, że mnie tą bujdą położysz, co? Nie, staruszku, taki żółtodziób nie jestem. Pracujecie razem? — dodał, patrząc na Mr. Hopkinsa.

— Ależ nie — zaprzeczył skwapliwie Mr. Hopkins. — Powiedział mi, że jest ze Scotland Yard'u.

— Nie trzeba wierzyć we wszystko co panu mówią — powiedział surowo młodzieniec. — Scotland Yard! Rzeczywiście. Końby się uśmiał! Panie, to jeden z najwytrawniejszych łotrów, ten drab. No, załóż mu to pan na ręce.

Z bronią skierowaną w chmurnie patrzącego Barfielda, poszu-

kał wolną ręką po kieszeniach, wyciągnął stamtąd parę kajdanek i rzucił je Mr. Hopkinsowi.

— Jestem z Biura Detektywów Dulton'a — powiedział — Lady Towerton poleciła mi czuwać nad skarbem. Dlatego byłem przy safie. Ten idjota przewodnik nie zamknął go dobrze.

— Pospiesz się pan — zawołał niecierpliwie, gdy Mr Hopkins niedołężnie obracał kajdankami — czy nie może pan sobie z niemi poradzić?

— Jedną założyłem — odparł Mr. Hopkins, usprawiedliwiając się — ale druga zacina się.

— Ależ, człowieku, to najprostsza rzecz w świecie — powiedział młodzieniec i poszedł, aby mu pomóc. — Trzymaj pan kajdany tak.

Mr. Hopkins był tak niezręczny, że wytrącił mu przytem rewolwer z ręki. Ale przynajmniej założył drugą bransoletę. Niestety, nie siedziała na ręku Mr. Barfielda, lecz uchwyciła przegub ręki młodzieńca.

Hałas sprowadził spowrotem przewodnika do izby. Zdumionemi oczami patrzał na skutą razem parę.

— Co tu się dzieje? — Spojrzał na Hopkinsa. — Co to za jedni?

— Nie wiem — odpowiedział łagodnie Mr. Hopkins — muszę pierwej zajrzeć do kartoteki. Wiedzieliśmy, że taka okazja ściągnie tu kilku takich ptaszków, dlatego tu przyszedłem. Jestem Mr. Hopkins ze Scotland Yardu. Czy nie zechce pan zawołać obu policjantów z przed bramy?

Przełożyła W. P.

W ZŁOTEJ KSIĘDZE MUZEUM TECHNIKI I PRZEMYSŁU

P. Minister Skarbu Inż. E. Kwiatkowski skreślił w tych dniach dla złotej księgi Muzeum Techniki i Przemysłu poniższą opinię, wymownie ilustrującą pozytywne ustosunkowanie się Państwa do pirwszej w Polsce placówki, mającej za zadanie popularyzowanie wśród mas wiedzy i atmosfery techniczno-gospodarczej.

Pełna głębokiej treści sentencja p. Wicepremiera Kwiatkowskiego brzmi jak następuje:

„Muzeum Techniki i Przemysłu w Warszawie należy do rzędu tych instytucji, które swą własną pracą, swą inteligentną inicjatywą i niezwykłą wprost zdolnością reakcji na nowe zjawiska życia — zdobyły sobie przebojem uznanie i szacunek całego społeczeństwa!

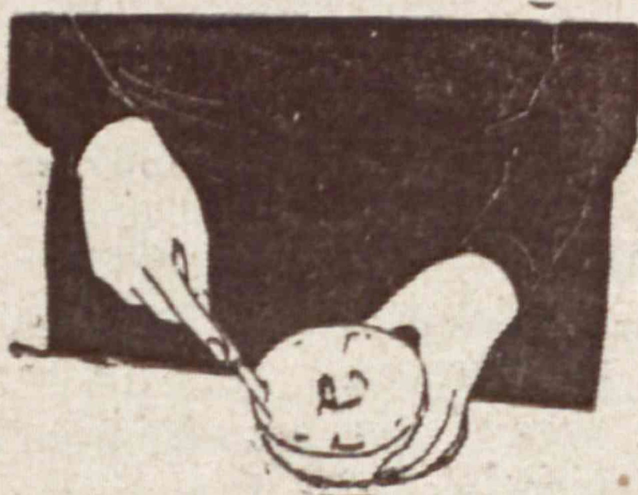
A więc wstępna część zadania jest pomyślnie zakończona.

Obecnie całe, reorganizujące się gospodarstwo narodowe, a przedewszystkiem młode i twórczą ambicją owiane pokolenie, musi się nauczyć korzystać codziennie z tej Instytucji, a zarazem musi ułatwić jej dalszy rozwój i dalsze pogłębienie swej rzetelnej wartości".

(—) *E. Kwiatkowski*
Minister Skarbu.

Nowa karta kulinarna — Grejpfruty

Kilkaset lat temu Europa nie znała jeszcze kartofli. Przyszły później takie czasy, kiedy to zwolennicy nowatorstwa kulinarnego zajadali się... zieloną nacią kartoflaną, odrzucając najdorodniejsze nawet kartofle, jako... „niejadalne korzenie".



Nie śmiejmy się zbyt głośno z naiwności owych średniowiecznych poczciwców, gdyż i my w całym szeregu wypadków potrafimy być nie mniejszymi ignorantami.

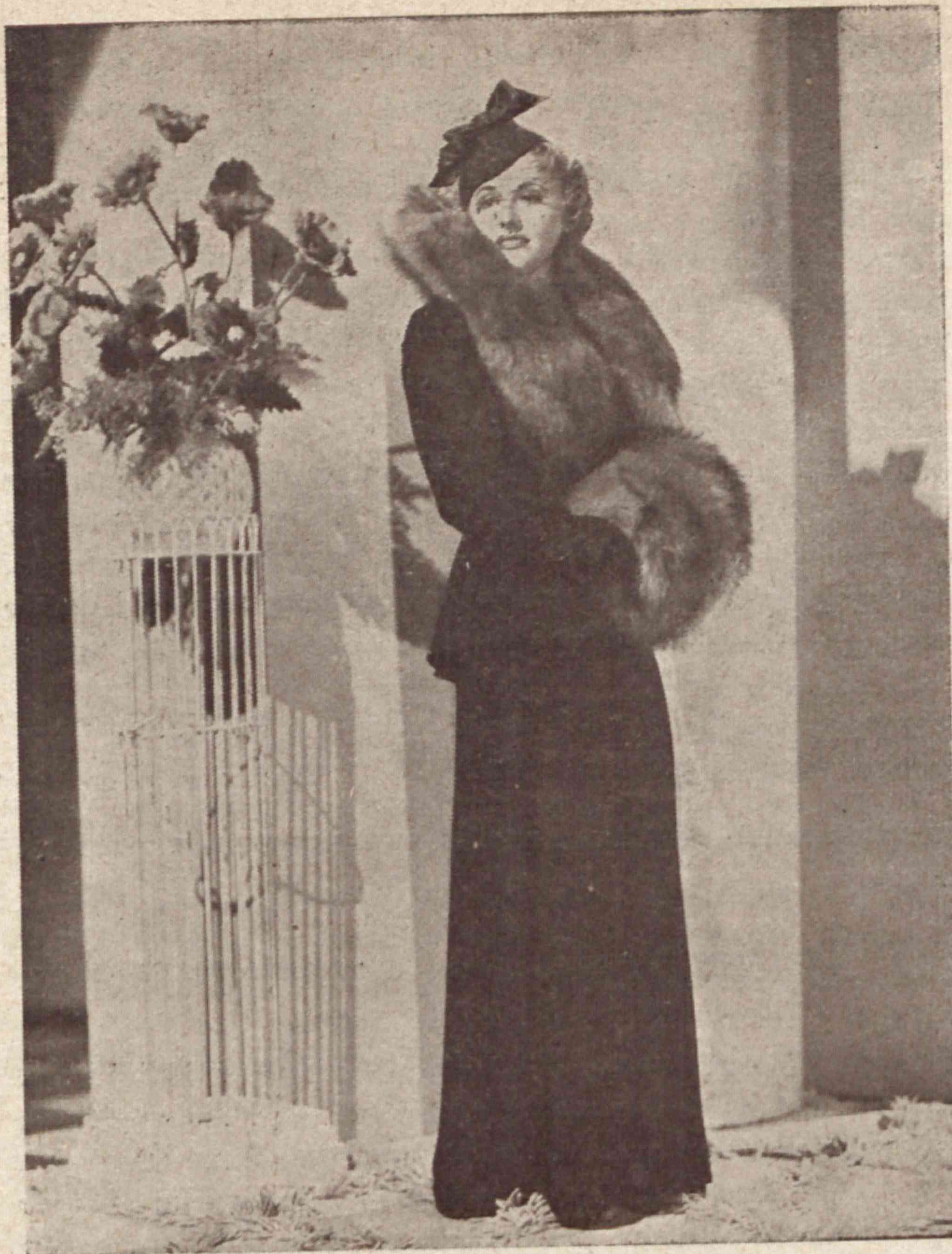
Żeby nie rzucać gołosłownych inwektyw, weźmy choćby taki niewielki przykład — nasz popularny sposób obchodzenia się z gerjpfrutami. Jak to zazwyczaj wygląda? A więc — rozcinamy ten przepyszny owoc tak czy owak, wkładamy w jego soczysty miąższ łyżeczkę, wyszarpując zeń mniejszy lub większy kawałek, podnosimy do ust i... „brr, jaki gorzki!". Najniesłuszniejsza w świecie reakcja. Nie grejpfrut w tym wypadku winien, tylko nasza rozczulająca naiwność. Oby z naszego życia można było równie łatwo usuwać każdą gorycz, jak z grejpfrutu! A robić się to powinno tak: rozcinamy grejpfrut jak cytrynę na połówki i specjalnym nożem spiczastym i zagiętym (noże takie można znaleźć w każdej lepszej owocarni) oddzielamy miąższ od skórki. Tym samym nożykiem robimy odpowiednie nacięcia, a cząsteczki grejpfrutu same się oddzielą. Nie skaleczona skórka owocu stanowi naturalny zbiorniczek na obficie wydzielający się sok. Teraz posypujemy owoc cukrem, stawiamy go w zimnym miejscu i dopiero po godzinie sok grejpfrutu staje się wspaniałym, orzeźwiającym napojem. Tak przygotowany sok z grejpfrutu nie ma pod względem smaku konkurencji i można go bez przesady zdefiniować jako cocktail z najszlachetniejszej pomarańczy, ożywiony łagodnym kwaskiem dojrzałej cytryny.

Nic więc dziwnego, że w Ameryce i Anglii grejpfrut jest od szeregu lat prawdziwą pasją i to pasją najszerszych mas. W krajach tych należycie oceniono zdrowotną i odżywczą wartość soku grejpfrutowego — stał się on codziennym napojem milionów ludzi.

Przykład Anglosasów, tak czułych i wykształconych na punkcie higienicznego odżywiania, godzien jest niewątpliwie naśladownictwa i u nas. Warto zainteresować się ich różnorodnymi sposobami wykorzystywania grejpfrutu, gdyż owoc ten jest obecnie niezbędnym uzupełnieniem całego szeregu potraw kuchni anglo - amerykańskiej. Używa się go poza tym do najrozmaitszych dżemów, marmelad, sałatek, deserów i t. d., i t. d. Repertuar kulinarny, w którym wielką rolę odgrywają grejpfruty, stale i ciągle rośnie.



Tegoroczne niskie ceny grejpfrutów przyczynią się niewątpliwie i u nas do szerszej ich popularyzacji. Pamiętajmy jednak o „średniowiecznych zjadaczach naci kartoflanej" i użytkujmy złociste kule grejpfrutów w sposób właściwy.



Betty Lawford — artystka RKO Radio w sukni wieczorowej z czarnego aksamitu i żakieciku przybranym niebieskiemi lisami.

„Concertina" **Imperial**

Filmy amerykańskie odznaczają się nieodmiennie bardzo wysokim poziomem technicznym i o ile temat nie przekracza możliwości producenta i reżysera (vide: niefortunny eksperyment z Szekspirem) to stanowią ciekawe zagadnienie lub miłą rozrywkę. Znaczne wyrobienie ruchu artystycznego amerykańskich realizatorów i dostosowanie poziomu obrazów do wytrawniejszego i — co tu ukrywać — lepszego gustu publiczności europejskiej wyszło filmom made in U. S. A. na lepsze.

W „Concertinie" widzimy szczęśliwy splot amerykańskiego tempa i sensacyjności z nawskroś europejską subtelnością i zdolnością odczuwania. Reżyser (William K. Howard) w ciekawy sposób zestroił sensacyjną fabułę, obfitującą w pełne napięcia momenty dramatyczne, z subtelnie i prosto rozwijającą się intrygą miłosną, uzyskując przez to interesujący przekrój pewnej transatlantyckiej pdróży. Lekki, pogodny uśmiech ironji, z jaką nam to życie jest podane, dopełnia całości wrażenia, stanowi często najtrafniejsze rozwiązanie, nadaje obrazowi swoisty nieuchwytny urok prawdziwości.

Zresztą mam wrażenie, że bez tego trochę ironicznego podejścia film byłby dość trudny do strawienia. Bo rzeczywiście — kryminalno - sensacyjny splot zdarzeń często z nieprawdziwego zdarzenia wywołałby wrażenie przeładowania, oburzyłby zdrowy rozsądek, byłby zwyczajną blagą.

Czołowa para aktorów — Carola Lombard i Fred Mac Murray — jest już dostatecznie znana publiczności polskiej. Grę ich cechuje niezaprzeczony wdzięk i duża inteligencja interpretacji. Tym razem nie możemy niestety pochwalić ich zupełnie bez zastrzeżeń. Bywali już lepsi. W każdym razie cudownej naturalności i bezpośredniości ich najlepszego obrazu „Ręce na stole" nie osiągnęli.

Pozostali wykonawcy na dobrym poziomie odnaczali się świetną charakteryzacją i ciekawą mimiką. „Bohaterka tutułowa" — niepozorna Concertina zdbyła całkowity aplauz widowni, do czego w znacznej mierze przyczyniła się miła melodyjna muzyka. Mimo paru niejasności i pewnej chwilowej

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.

Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca**

szarży Caroli Lombard, film ma szanse powodzenia.

Nadprogram miła groteska kolorowa Fleischera i dziwnie nudny dodatek Pata.

J.

Anegdoty o Jerome Kernie.

Jerome Kern stał się jednym z najpopularniejszych kompozytorów tylko dzięki temu, że nie podobały mu się istniejące melodje. Do zawodu jego należała sprzedaż nut, ale czynił to niechętnie, gdyż uważał, że towar nie odpowiada wymaganiom publiczności. Zaczął więc sam komponować — nie mając zresztą żadnej pewności, że sprosta zadaniu; chciał poprostu na sobie doświadczyć wszystkich trudności tego zawodu. Jego nieprzeciętna muzykalność i umiłowanie muzyki sprawiły, że utwory jego stoją na znacznie wyższym poziomie, niż dotychczasowa muzyka popularna.

* * *

Jak Kern pracuje? Skąd czerpie melodie i słowa? „Najmniejsza czynność życiowa, najbardziej nawet materialna", powiada Kern, „może być wyrażona muzyką".

Potwierdzeniem tej teorji jest drobne wydarzenie, które stało się powodem jednego z największych sukcesów Kerna: pewnego poranka, o świcie, ptaszek usiadł na parapecie otwartego okna kompozytora i powitał wschodzące słońce przeciągłym, harmonijnym dźwiękiem. W tych kilku nutach ucho Kerna uchwyciło całą melodję, ale gdy chciał ją utrwalić na papierze — było już za późno, melodja mu się wymknęła, pozostało tylko wspomnienie. Przez szereg dni i nocy Kern daremnie usiłował uzmysłowić sobie to wspomnienie, aż pewnego wieczoru, spacerując po ogrodzie usłyszał (a może mu się tylko zdawało, że słyszy?) tego samego ptaszka, śpiewającego na dworze. Kern natychmiast podbiegł do fortepianu i zanotował kilka nut, które się stały podstawą jednej z najpopularniejszych piosenek— „Little bird told me" („Mały ptaszek mi powiedział").

* * *

Kern odznacza się bystrą inteligencją i niezwykłą erudycją. Godzinami potrafi on dyskutować na dwa ulubione tematy: muzyka i podróże.

Kern jest namiętnym bibliofilem i przez pewien okres czasu biblioteka jego, zawierająca rzadkie okazy, uchodziła za jedną z najpiękniejszych bibliotek Ameryki. Ale przyszły ciężkie czasy i Kern był zmuszony rozstać się ze swoją kolekcją, która przyniosła mu pokaźną sumę. Nazajutrz po sprzedaży swoich zbiorów, Kern zobaczył w oknie księgarza-antykwarjusza stare, przed laty wyczerpane wydanie pewnego dzieła. Nie namyślając się, wszedł do księgarni i kupił książkę, płacąc za nią z pieniędzy, otrzymanych poprzedniego dnia.

* * *

Jerome Kern nie znosi publicznych występów. Nigdy jeszcze nie występował on ani w teatrze, ani na koncertach, ani w radjo. Twierdzi on, że jest złym wykonawcą własnych utworów i że publiczność nie zniosłaby jego gry.



Anna Sothern, gwiazda R. K. O. Radio odznacza się ciekawą urodą i interesującą mimiką.

ŚWIAT FILMU

Murzyn zrobił swoje...

Nazywam się Louisa Selfridge, jestem „gwiazdą zastępczą" Ginger Rogers. I to już od czterech lat.

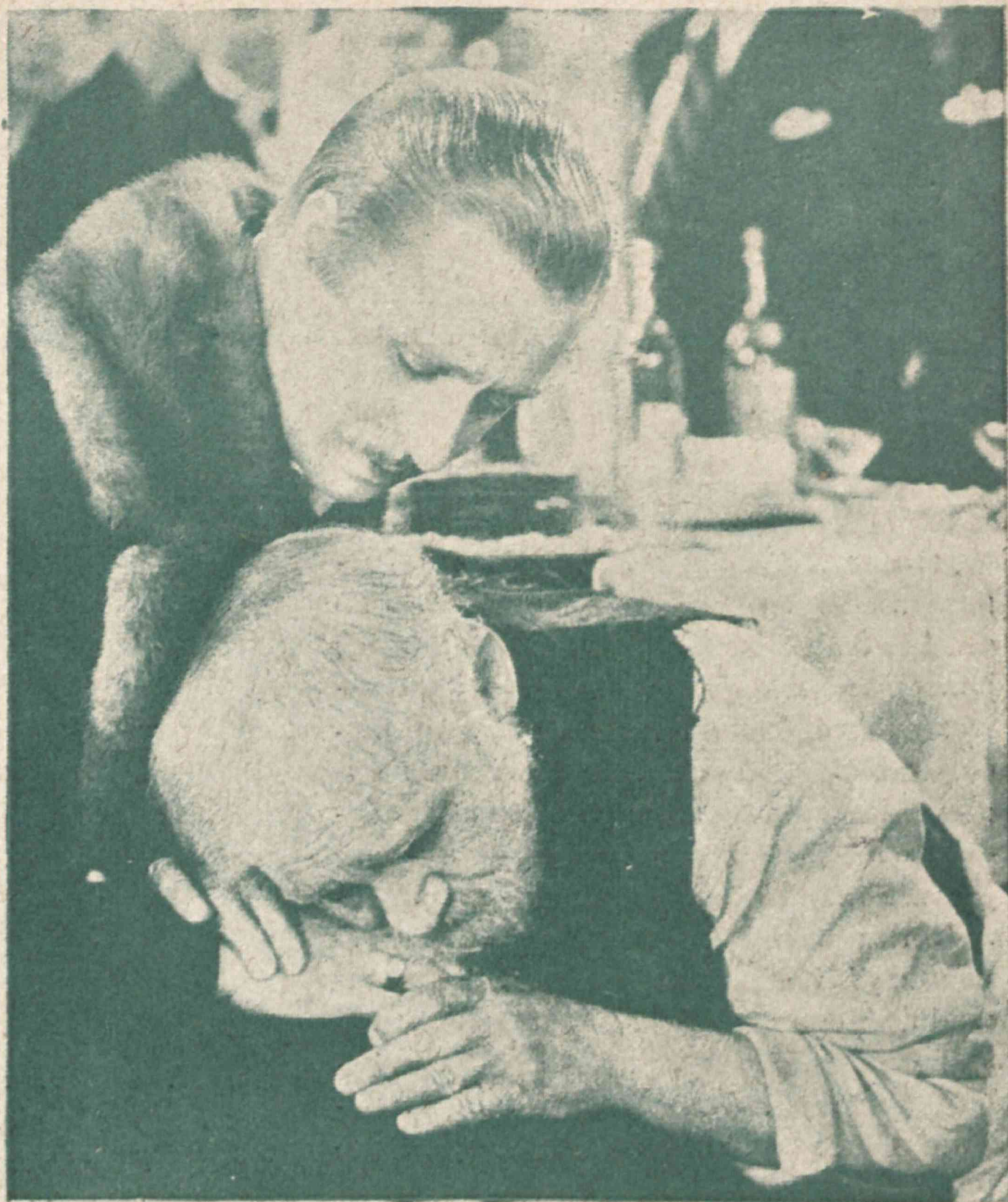
Nie wszystkim wiadomo, co to jest gwiazda zastępcza. Nie jest to to samo, co t. zw. double. Double występuje tylko w owych szczególnych wypadkach, gdy należy wykonać pewne niebezpieczne, lub zbyt wielkiego wysiłku wymagające zdjęcia, przy których narażone może być zdrowie lub życie gwiazdy. Double występuje też przy scenach, przy których potrzebne są specjalne umiejętności, jak np. prowadzenie samolotu, jazda konna, lub też pewne sceny akrobatyczne.

Gwiazda zastępcza ma całkiem inną rolę. Proszę sobie tylko wyobrazić jak wiele się dzieje rzeczy, nim przystępuje reżyser do właściwego zdjęcia danych scen. Operator nastawia kamerę na najlepszą ostrość. Mikser traci długie minuty na ustawienie mikrofonów. Pomocnicy operatora wyznaczają czarnemi taśmami izolacyjnemi miejsca na scenie, w których gwiazda może się poruszać, by nie wyjść poza granicę zasięgu objektywu. Reżyser, poraz ostatni sprawdza, która z interpretacji danej sceny wypada najlepiej, którędy gwiazda ma wejść, jak trzeba ustawić i na jaką siłę wyregulować jupitery. Przygotowania te trwają nieraz długie godziny, a wysiłku tego należy oszczędzić samej gwieździe, by mogła przyjść do zdjęć świeża i niezmęczona. Te wszystkie przedwstępne funkcje spełnia za nią jej filmowa siostrzyca, „gwiazda zastępcza".

Zadawano mi często pytanie, czy nie czuję ukłucia w sercu, czy nie jestem zazdrosna, gdy po wykonaniu tych wszystkich zadań, muszę zejść ze sceny by ustąpić miejsca Ginger Rogers. Przecież to na mnie wypróbowują fryzjerzy nowe fryzury, ja noszę najpierw nowe modele sukien, które potem Ginger Rogers lansuje, na mojej twarzy wypróbowują najlepszy efekt maquillage'u, nastawiają kamerę, bym dopiero w ostatnim momencie ustąpiła miejsca Ginger Rogers.

Mogę zupełnie szczerze powiedzieć, że mimo tego wszystkiego, przez moją głowę nigdy nie przeszła myśl o zazdrości. Nie zaprzeczam, że tak, jak wszyscy tu w Hollywood i ja niegdyś marzyłam o powodzeniu i sławie, gdyż, z ręką na sercu, — która z młodych dziewcząt tutaj w stolicy filmowej nie marzy o tem? Lecz teraz marzenie to jest już dawno poza mną. Po kilku latach biedy, mam dzisiaj swoje stanowisko i zarabiam nie mniej, niż wiele średnich sław Broadwayu. Dla studja posiadam dużą wartość, gdyż rzadko z którą gwiazdą zastępczą pracują reżyserzy tak spokojnie, jak ze mną. Nerwy wolno mieć tylko gwieździe, jej zastępczyni nie wolno być nerwową. I pod tym względem osiągnęłam chyba rekord opanowania. Z Ginger Rogers żyję w najserdeczniejszej przyjaźni. Czytamy razem, pracujemy, obecnie obie zaczytujemy się książkami Pearl Buck i Somerset Maugham.

Zapytują mnie często, czy dzięki memu podobieństwu do Ginger Rogers, gdyż podobne jesteśmy z kształtu, z uczesania i strojów, nie biorą mnie często na ulicy za Ginger Rogers. Na to jednak jst prosta odpowiedź. Po Hollywood biega obecnie tak wiele małych Ginger, że jest rzeczą naprawdę nieważną, czy znajduje się na ulicach jedna więcej czy jedna mniej. Obecnie my tworzymy typ. Przedtem była to Greta Garbo, czy Marlena Dietriech. Traz na ulicy Hollywood modna jest Ginger Rogers. *Louise Selfridge.*



Znakomici artyści ekranu: wielki tragik amerykański Jean Hersholc i partner jego Don Ameche w wielkim filmie Foxa p. .: „Zapomniana symfonja". Film ten odniósł wielki sukces na ostatniej premjerze w Atlanticu.

Sensacja filmowa

Myrna Loy i Warner Baxter — przebój Ameryki Nr. 1

Za za Oceanu nadchodzą coraz to świeższe wiadomości o ukończonym obrazie p. t.: „Małżeństwo z miłości". Jest to dramat społeczny, rodzinny w najlepszem ujęciu inteligentnej reżyserji. Baxter i Myrna Loy są najlepszą marką aktorską i publiczność, znająca ten wspaniały duet, doskonale orjentuje się, że pokaże się jej film, którego prędko nie zapomni. Obraz pod względem tematu jest przeróbką znanej powieści Shermana p. t.: „To Mary with love".

Ale oto powstała trudność. Powieść jest jeszcze w druku i nikt poza autorem nie zna jej zakończenia. Wytwórnia „20th Cenury-Fox" ogłosiła konkurs na wybranie odpowiedniego finału powieści. Konkurs wzbudził olbrzymie zainteresowanie i 500 000 głosów wypowiedziało się, jak właściwie powinien się skończyć film. Głosujący wskazali jednocześnie na Warnera Baxtera i Myrnę Loy, jako tych aktorów, którzy bezwarunkowo winni zagrać główne role bohaterów powieści.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „SWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk „Polska Zjednoczona" Warszawa